

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.  
Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 50 zł.  
1/2 „ — 25 „  
1/4 „ — 13 „  
1/8 „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## „Mocarstwowcy”.

Obszerne sprawozdania z procesu terrorystów ukraińskich, toczącego się obecnie w Warszawie drukują wszystkie dzienniki polskie. Niektóre zaopatrują je we własne komentarze. Po większej części płytkie i tendencyjne. Ale są wyjątki. Oto dłuższy ustęp z jednego artykułu, zasługującego na przytoczenie w całości. Posłuchajmy chociaż urywku.

„Ci ludzie zabili chcąc służyć sprawie swojego narodu. Nie myślimy, że służyli jej dobrze. Skutecznie służą dopiero teraz: trzy czwarte prasy polskiej, które przez lat siedemnaście nie chciało znać słowa „ukraiński”, w ciągu tych dwóch tygodni nauczyło się naraz tego słowa. I już go nie zapomni. Ludzie, którzy do ostatniej chwili nie pisali inaczej niż o „hajdamakach”, dziś wstydzą się głupiego banału o „ponurym wyglądzie” tych ludzi. Przez lat siedemnaście tłumaczono nam, że szerzenie, chociażby przymusem, języka polskiego na kresach oznacza szerzenie polskości, zaszczepianie miłości do Polski. Teraz ci ludzie, choć znają język polski, po polsku mówić nie chcą. Nienawiść ich do polskiego państwa, ministra i policjanta rozszerzyła się na mowę polską. Uczono nas, że ta cała „Ukraina” jest sztuczna, że ustąpi z ostatnimi śladami austriackiego panowania, którego była dziełem. I oto ta „Ukraina” w swej nienawiści do nas bucha dziś silniej, niż za dawnych, niepokojących czasów, gdy Siczyński zabił namiestnika Potockiego. Te wszystkie niespodzianki różnicy między takimi ludźmi, jakimi widzimy oskarżonych Ukraińców, a taką zbrodnią, jaką było morderstwo ministra spraw wewnętrznych, burzą cały kwiatyzm upraszczania, z jakim rnyśl polska żyła się od długich lat siedemnastu...

„Teraz nie zwalimy już tego na Wiedeń i nawet na Berlin, nie zwalimy na hrabiego Stadiona

i na „agitację z Kanady”. Nie zwalimy nawet wyłącznie na rząd i represje wobec podpalaczy. Wino-wajców trzeba tu będzie doścignąć w tłumie, w masie, trzeba będzie całą masę, która tak myślała, przed sąd pociągnąć. Trzeba będzie pociągnąć i obojętnych, i tych co nie dostrzegli, i prostych kłamców. Trzeba będzie pociągnąć nie tylko naśladowców, ale i wielbicieli tradycyji Jaremy Wiśniowieckiego i regimentarza Stempkowskiego... Wówczas staniemy nie tylko wobec cudzej sprawy i jej dróg. Staniemy jeszcze wobec tego, cośmy sami robili, myśleli, sprawiali...”

Autorem tego śmiałego, otwartego wyznania jest p. Ksawery Pruszyński, pismem zaś, które miało odwagę je wydrukować są „Wiadomości Literackie”. W tym samym Nr. 50 „Wiad. Literackich” wstępny artykuł, poświęcony zagadnieniu ukraińskiemu w Polsce, utrzymany w tonie pojednawczym, wykazujący potrzebę kompromisowego załatwienia sporu polsko-ukraińskiego zamieścił p. Mieczysław Pruszyński.

Nazwiska te nie są nam obce. Spotykaliśmy je dawniej na łamach prasy o t. zw. kierunku mocarstwowym, m. in. na szpaltach wileńskiego „Słowa”. Czemuż dziś dla swych wynurzeń, wybitnie politycznych szukają gościny w piśmie literackim, w dodatku hołdującym zasadom przestarzałych doktryn liberalizmu, postępu, demokracji, humanitaryzmu, tak pogardzanych przez „mocarstwowców”?

Istnieje przecież w Warszawie czasopismo p. t. „Bunt Młodych”, będące organem młodej inteligencji, marzącej o ekspansji na wschód i wskutek tego zwalczające ciasny nacjonalizm endecki. W „Buncie Młodych” kwestja ukraińska była i jest stale traktowana tolerancyjnie i ugodowo. Nawet „Słowo” wobec Ukraińców zajmuje postawę kurtuazyjną. Czemuż więc panowie Pruszyńscy pominęli te pisma i za swą trybunę obrali pacyfistyczne „Wiadomości Literackie”?



Czyżby swój stosunek do zagadnienia ukraińskiego opierali na podstawach bardziej szerokich i zasadniczych, niż to czynią patentowani mocarstwowcy? Czyżby w nim widzieli pewien fragment, część składową ogólnego problemu narodowościowego w Polsce, a nie tylko najpoważniejszy czynnik, od którego w znacznym stopniu zależy powodzenie polskiej polityki imperjalistycznej?

Bo nie ulega wątpliwości i trzeba to podkreślić z naciskiem, że t. zw. „Myśl Mocarstwowa”, jako kierunek ideologiczny, daleka jest od głębokiego ujmowania kwestji mniejszości narodowych w Polsce. Wyjątek czyni jedynie dla Ukraińców ze względów wyżej wspomnianych. Wobec innych narodowości zajmuje stanowisko równie nieprzejednane, lekceważące i zachłanne, jak zwalczana przez nią namiętnie endecja. Różnica między temi dwoma odłamami myśli politycznej polega na tem, że gdy endecy swą koncepcję potęgi państwowej Polski opierają na porozumieniu z Rosją i zgodnem rozgraniczeniu z nią sfery wpływów, mocarstwowcy pragną rozczłonkowania Rosji i utworzenia niepodległej Ukrainy, związanej tak lub inaczej z Polską. Myśl przewodnią mocarstwowców wyraził dosadnie jeden z najmłodszych przedstawicieli tego kierunku na szpaltach „Tygodnia Akademickiego”, wychodzącego jako dodatek autonomiczny do „Słowa. Oświadczył on tam z aplombem: „Chcemy żyć z Ukraińcami Chcerny, by od morza do morza bylibyśmy (*sic!*) My i Oni, i więcej nikt”.

Zgodnie z tem założeniem starsi mocarstwowcy nie lubią poruszać ani kwestji litewskiej, ani białoruskiej, ani żydowskiej; natomiast młodszy z całą otwartością popisują się swym nacjonalizmem w najgorszym gatunku. Wspomniany „Tydzień Akademicki” przepełniony jest elukubracjami rozmaitych młodocianych zwolenników „Myśli Mocarstwowej”, w których niewiedzieć co bardziej podziwiać: czy buńczuczność, czy ignorancję, czy brak kultury.

Niedawno Związek Studentów Litwinów w Wil-

nie obchodził dziesięciolecie swego istnienia, „Związek Studentów Białorusinów” zaś — piętnastolecie. W obchodach tych nie wziął udziału nikt z kolegów Polaków. Żadna organizacja akademicka polska, nie uważała za stosowne wydelegować na uroczystość swych przedstawicieli lub chociażby nadesłać pismo gratulacyjne. Jedyłą reakcją ze strony polskiej było wystąpienie na łamach „Tygodnia Akademickiego” niejakiego A. Strzałkowskiego, który napisał dosłownie: Zastanawiające są objawy „trójprzymierza” naszych mniejszości *chłopskich (sic!)*. Zbratanie, „bratnich dusz” białoruskich i litewskich w dniu XV-lecia istnienia Zw. Stud. Białorusinów na „weczarynie” w lokalu Zw. Stud. Litwinów. Do kompletu brakuje jeszcze orkiestry ukraińskiej, którą prawdopodobnie na przyszły raz na tę uroczystość przywiezie się samolotem z Tarnopola lub Kołomyi... Jakiż niski poziom kulturalny wykazuje obecnie młodzież *szlachecka!*

Nie wyższy jest też jej poziom umysłowy, bo oto dalej tenże A. Strzałkowski wygłasza taką tyradę: „Czas nareszcie skończyć z subsydjowaniem i udzielaniem stypendjów i innych pomocy pseudo Białorusinom i pseudo-Litwinom, rekrutującym się z niezamożnej młodzieży polskiej (?). Koła studentów mniejszościowe powiększa bowiem dość znaczny odsetek renegatów Polaków, oczekujących wygodnych synekur, oddawanych przez Państwo w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku opieki nad mniejszościami” Co za brednie! Wprost nie do wiary.

Albo taki J. Piotrowski, który na tej samej kolumnie odpowiada koledze Dasiukiewiczowi z „Biel. Krynicy:” „Nie oddamy ani metra ziemi, która jest przesycona krwią **polskiego** żołnierza i potem **polskiego** robotnika. Nie oddamy ziemi, na której wszystko **my** zbudowaliśmy nakładem olbrzymich kosztów przez wiele lat. Choćby tam był **jeden** tylko Polak!...” Pomijając bezprzedmiotowość repliki, gdyż ów student białoruski bynajmniej

## Dokoła celibatu.

W pierwszych latach po wojnie rozgorzała w prowincji lwowskiej obrzędka gr.-kat. ostra polemika prasowa w sprawie celibatu. W latach ostatnich zdawała się czasowo przygasać, gdy oto wyszła tego lata książka bazylianina o. Platona Martyniuka: *Nepodilne serce świąszczenia w służbie Boga i Cerkwi* (Żółkiew 1935) i sprawa powyższa zaogniła się na nowo, tym razem chyba już na czas dłuższy.

Niżej chcemy omówić ważniejsze a ciekawsze ustępy tej książki, bo kwestja celibatu interesuje dziś również u nas wcale szerokie koła katolików, jako niewyłącznie kościelna, lecz też społeczna i moralna. Autor książki omawianej jest kolegą uniwersyteckim piszącego. Zrozumiała więc rzecz, że żadna uwaga krytyczna, a ich sporo tu musi być, nie

będzie miała na względzie osoby autora, lecz sam niezmiernie aktualny dziś dla gr.-katolików problem

\*

Postawmy przedewszystkiem pytanie: czy książka o. Martyniuka była w chwili obecnej potrzebna? Sądzymy, że wcale nie. Studja i rozprawy na temat celibatu oczywiście są potrzebne, lecz Cerkiew gr.-kat. ma dziś już znaczny, a wciąż rosnący zastęp bezżennego kleru świeckiego i jego właśnie w pierwszej linji zadaniem jest uzasadniać życiem, słowem i piórem wartości i korzyści celibatu. Powie ktoś: niema tematów zakazanych, chodzi tylko by ujęcie było właściwe. Otóż przyznając autorom najszerze nawet prawo dowolnego obierania tematów, winniśmy pamiętać, że tematyka ma też swoje normy i wymogi. Coby np. powiedział zakonnik, jeśliby kapłan świecki, jaki z natury rzeczy stoi zdala od życia zakonnego, wymęczył pracę na obcy dlań temat w rodzaju: *Jak ma zakonnik rozumieć i praktykować t. zw.*



nie występował z żądania oderwania od państwa polskiego żadnego terytorjum, zastanawia w niej bezmyślna megalomanja. Ziemia białoruska, przesycona potem polskiego robotnika — trudno o większy nonsens, a ten jeden Polak — to już naprawdę szczyt śmieszności.

I wreszcie artykuł A. Poklewskiej-Kozieli o paszportach palestyńskich również w tym samym numerze. Jaki ton, jaka pewność siebie i jakie grafo-manstwo!

Takie oto okazy hoduje „Myśl Mocartwowa”.

Należy przypuszczać, że panowie Pruszyńscy dlatego zamieścili swe artykuły w „Wiadomościach Literackich”, aby się odgrodzić od kompromitującego ich ideologję towarzystwa.

Od czasu do czasu, rzadziej lub częściej, za naciśnięciem jakichś sprężyn zakulisowych, ukazują się w prasie polskiej notatki albo nawet całe artykuły o nieustającym przesładowaniu ludności polskiej w Litwie Kowieńskiej (Nawiasem mówiąc wynikałoby z powyższego określenia przymiotnikowego, że istnieje jakaś inna Litwa. Jaka? Zapewne Wileńska? Tej jednak nazwy prasa polska starannie unika). Wiadomości o antypolskich represjach rządu litewskiego są często podawane w formie ogólnikowej i dalekiej od ścisłości. Np. telegram Pał'a z dn. 3 b. m. wspomina o 30 nauczycielach polskich uwięzionych lub skazanych na wysiedlenie w roku bieżącym. Omawiając powyższą wiadomość „Viln. Rytojus” zapytuje, skąd się wzięło aż 30 nauczycieli, skoro w Litwie jest wszystkiego 14 szkół polskich i przypomina głośny list 28 nauczycieli, internowanych rzekomo w Worniach z r. 1927, który się okazał falsyfikatem.

Wogóle informacje o represjach w Litwie nasuwają redakcji „Viln. Rył” szereg uzasadnionych wątpliwości, z którymi jednakże opinja polska nie ma możności się zapoznać, gdyż pisma polskie, nawet wychodzące w Wilnie z reguły ignorują to, co się pisze w miejscowej prasie litewskiej.

Przestrzegana dawniej skrupulatnie zasada: *Audiatu et altera pars*, obecnie poszła w zapomnienie. Jedna strona mówi swoje i nie dba o argumenty drugiej. Żadnej styczności, żadnej wymiany myśli. W rezultacie całkowita izolacja i rosnący wciąż mur wzajemnych nieporozumień i uprzedzeń. Smutno!

*kulpe* (= oskarżanie się z win zewnętrznych przed przełożonym zakonnym), dając jeszcze podtytuł: *podręcznik dla męskich klasztorów?* Żle zakonnicy przyjąłoby wyczyn podobny konfratra świeckiego. Niechże tedy zechcą sami zrozumieć, jakie wrażenie musi książka o M. sprawić na kapłanie żonatym, jeśli jest człowiekiem inteligentnym, a szanującym siebie i swój stan. Dla książki, o której tu mówimy, nie mam i nie znam lepszej nazwy, jak *dyktando bazylikańskie* dla kleru świeckiego. O celibacie kleru gr.-kat. wypowiedział się papież Pius IX w słowach: *In hanc delicatissimam materiam nunquam me ingeram!*... Idealem ma być *nie* subordynacja kleru świeckiego zakon-nemu, lecz *koordynacja* obu.

Bijący na uczucie a wręcz metaforyczny tytuł tego dzieła bynajmniej nie może ukryć faktu, iż mamy tu do czynienia z przysłowiową niedźwiedzią przysługą dla sprawy wprowadzenia w Cerkwi gr.-kat. celibatu obowiązkowego.

## Rząd, ziemianie i chłopi.

W Nr. 19 „Przeгляdu Wileńskiego”, z 27 października b. r., ukazał się artykuł p. H. B. pod tytułem: „Względy polityczne a interes gospodarczy”. Jakkolwiek artykuł ten zaopatrzyła redakcja swoim dopiskiem, w którym odparła niektóre błędne twierdzenia autora, idąc w tem po naszej myśli—jednakże, sądzimy, należy jeszcze głębiej spenetrować twierdzenia i wnioski autora wspomnianego artykułu, gdyż dotyczą one bardzo zasadniczej sprawy społeczno-politycznej.

W artykule swoim p. H. B. poświęcił dużo miejsca kwestji zależności polityki polskiej w stosunku do Białorusinów od rzekomo proziemiańskiego nastawienia polityki gospodarczej, występującego zwłaszcza ostro, zdaniem autora, na ziemiach naszych. Wreszcie zakończył autor swój artykuł twierdzeniem, że proobszarnicki kurs polityki gospodarczej Polski jest antychłopski—a tem samem, stwierdza autor—antybiałoruski.

Pomijając narazie szereg błędnych przesłanek, na których autor opiera swoje wnioski—zwrócić chcemy uwagę, iż z tezy autora pochopnie możnaby wyciągnąć wniosek, że jeśliby w Polsce ten rzekomo antychłopski kurs zmienił się na prochłopski—to tem samem stałby się probiałoruskim! Nie wiemy, czy autor w to wierzy, ale tak wynika to z jego końcowej tezy, jak i z toku poprzedzających rozważań. Tego rodzaju punkt widzenia może posiadać pewne atrakcyjne polityczne momenty i prowadzić do szukania rozstrzygnięć politycznych jedynie w sferze zjawisk gospodarczych. Otóż wydaje się nam, że taki pogląd może stać się niebezpiecznym dla narodowego ruchu białoruskiego w ramach polskiej państwowej rzeczywistości.

Nie ulega wątpliwości, że w środowisku dużego odłamu takich lub innych nacjonalistów polskich szuka się właśnie rozstrzygnięć polityczno-narodowych w płaszczyźnie gospodarczej. Myśl trafienia „przez brzuch” do duszy chłopca białoruskiego—jest bardzo w tych sferach popularna. Właśnie pod tą maską odbywa się dobrze zorganizowana, i nie zawsze mało skuteczna, akcja wynarodawiająca. Potwierdza nasze zdanie ten fakt, że tą a nie inną drogą idzie kulturtregerska, wynarodawiająca Białorusinów akcja, bardzo zresztą radykalnej, jak na

Przed chwilą nazwaliśmy efektowny tytuł pracy tej wręcz metaforycznym. *Niepodzielne serce kapłana*... brzmi niewątpliwie ładnie a podniosłe, i dobrze nadaje się dla hasła. Jednak to tylko przerośnięta, bo żyjąc na ziemi, każdy człowiek jest już skazany, właśnie przez samo życie, *na podziały*, których nie uda się mu nigdy uniknąć całkiem. Tak dobrze celes, jak i zakonnik są tu podzieleni, i to nieraz jakże bardzo!... Właśnie podzieleni nie gdzindziej, lecz *w sercu*. Pewnych nawet podziałów pozytywnie chce od stworzenia sam Stwórca—Bóg, stwierdzając to sankcjami religijnymi. Dobrze jeśli sam tytuł książki podbija już czytelnika w kierunku szczytnym, lecz normy prawne, podobnie jak matematyka, wymagają ścisłości. Stąd wszelkie metafory kryją też w sobie pewne niebezpieczeństwa.

Jednym z największych błędów książki o M. jest niewłaściwe a natarczywe operowanie pojęciami i terminami, jak *szczęście*, *szczęśliwy*..., które



polskie obecne stosunki, grupy, noszącej pospolicie nazwę „osadników”, względnie „naprawiaczy”. Wielu leaderom tej grupy nie można odmówić daleko idącego radykalizmu społecznego, i oni to właśnie na naszych ziemiach reprezentują wybitnie ten kierunek „pro-chłopski”, nie kępując się nawet rzucić hasła radykalnej reformy rolnej, przytem czynnie występując przeciwko miejscowemu ziemiaństwu. Nie wiemy, czy p. H. B. uzna pomimo to grupę tę za pionerkę sprawy białoruskiej. Chęć trafienia, jak rzekliśmy, „przez brzuch” do duszy chłopu białoruskiego, w celu zjednania jego dla narodu polskiego, niestety w sensie wąsko egoistycznym, wynarodowiającym — to wszak myśl przewodnia sanacji; na tem polega w znacznym stopniu prąd kulturtregerski na naszych ziemiach, ochrzczony w swoim czasie przez „Przeгляд Wileński” mianem „Szanterjady”.

Ale wróćmy do sprawy innej, do tego twierdzenia autora, że w Polsce, a zwłaszcza na „Kresach”, uprawiana jest przez czynniki państwowe, permanentnie, rzekoma polityka proobszarnicza. Dziwna rzecz, że w tym wypadku autor staje się zupełnie solidarnym z obozem „naprawiaczy”, którzy dla osiągnięcia politycznych i dla skuteczniejszej walki z miejscowem ziemiaństwem właśnie wywołują to widmo polityki proziemiańskiej. Zastanówmy się jednak nad tem, czy w Polsce naogół, a w szczególności na naszych ziemiach, kierowała kiedy czynnikami rządzącymi polityka proziemiańska. Sądzimy, iż ten pogląd jest wręcz fałszywy. Jest rzeczą mylną identyfikować kwestję nierealizowania reformy rolnej z tak zw. proziemiańską polityką. Na załamanie zamierzonej reformy rolnej wpłynął skomplikowany zespół najrozmaitszych czynników, w którym klasa ziemiańska odegrała rolę podrzędną. W polskiej gospodarce rzeczywistości trzeba widzieć inne zjawisko; polska polityka gospodarcza szła przez wiele lat drogą nastawienia antyrolniczego. Rzecz prosta, że polityka ta uderzała i w chłopą, ale to nie zna czy, aby była antychłopską w sensie dosłownym. Przeciwnie liczne fakty wskazują na to, że w swoich szerszych ramach miała ona raczej pro-chłopskie, a nie pro-ziemiańskie nastawienie.

Natomiast wyraźniej sprawa ta przedstawia się, jeżeli chodzi o nasze ziemie. Tu twierdzenie p. H. B., że rządy polskie uprawiały i uprawiają politykę proobszarniczą, jest stanowczo błędne. Należy stwier-

dzić coś wręcz przeciwnego. Od czasu przyłączenia ziem t. zw. „kresowych” do Polski, przez wszystkie niemal okresy rządów polskich, można raczej stwierdzić antyziemiańskie nastawienie. Przejawia się ono w formie rozmaitej. Wszakże dla każdego, kto obserwuje te stosunki, jest jasnym, że ziemiaństwo naszych ziem, jako klasa, zeszło w Polsce odrodzonej na plan drugorzędny w znaczeniu prestiżowym, a w sensie gospodarczym doszło niemal do zupełnego upadku. Specjalna konjunktura gospodarcza, która wynikła z sytuacji geopolitycznej, nadmierny ucisk podatkowy, wreszcie głęboki kryzys — wszystko to podcięło zupełnie materialny byt tutejszego ziemiaństwa. A nikt chyba nie wskaże faktów, żeby rządy polskie w jakibądź sposób szły na rękę w tej dziedzinie ziemianom. Pewne odruchy przychylnie dla ziemian ze strony miejscowej administracji nie znajdowały żadnego echa u centralnej administracji, pomimo iż rząd polski mógłby, jeśliby chciał, dla miejscowych polskich ziemian, dużo zrobić. Stąd wszakże powstają te ciągle żale ze strony ziemian do rządu.

Niewiadomo skąd p. H. B. wziął, że „Komisarz Generalny Z. Waschoonich zabronił dokonywania transakcyj ze sprzedażą ziemi” — i to podobno w celu zachowania w stanie nienaruszalnym tutejszej więdźszej własności? Nic podobnego nie miało miejsca. Przeciwnie, w tej właśnie dziedzinie, łatwo znajdziemy dowody, że polityka agrarna polska bynajmniej nie szła w kierunku rzekomo pro-ziemiańskim. Wszakże, gdy jeszcze w Polsce nikt nie myślał o realizowaniu reformy rolnej, to na ziemiach naszych poczęto realizować ją w sposób dość gwałtowny, odbierając, narazie bez żadnej rekompensaty, ogromne obszary u ziemian tutejszych na cele „osadnictwa i parcelacji”. Nigdzie w Polsce, poza niektórymi obszarami niemieckich właścicieli, nie wywłaszczono obszarów dworskich, a tylko właśnie na „Kresach” z punktu zabrano się do tej operacji. Parcelacja obszarów dworskich nietylko nie była hamowana, ale nawet „nieoficjalnie” bardzo popierana — co prawda mając ubocznie na celu osadnictwo polskie.

W akcji tej brały udział rozmaite „koncesjonowane” przez centralne władze spółki parcelacyjne, które robiły na ziemiach miejscowych, zagrożonych wciąż reformą rolną i naciskanych podatkami, bardzo dobre interesy. W tym to czasie stopniały bardzo znaczne obszary dworskie. I trzeba stwier-

wciąż usiłuje wiązać z celibatem, jakby były jego atrybutem koniecznym. Tymczasem wielce subiektywne pojęcie szczęścia ziemskiego nie idzie w ślad ani za celebsem, ani za kapłanem żonatym, ani za zakonnikiem, ani wreszcie za jakimś innym stanem. Nie będziemy tu rozstrzygać, kto jest szczęśliwszy: paroch czy lekarz, zakonnik czy aptekarz... Znane są wprawdzie w Rzymie: *Commissio Biblica*, *Commissio Liturgica*..., zaliśmy jeszcze niedawno zespół smutnej pamięci: *Commissio pro Russia*, ale jesteśmy najgłębiej przekonani, że mimo wielkich wpływów zakonów w Watykanie, nie wpadną chyba tam nigdy na pomysł powołania do życia analogicznej instytucji, jakaby się nazywała *Komisją dla definjowania pojęcia szczęścia* poszczególnych ludzi na tym pa dole płaczu... Ten kapitalny, a przewijający się przez całą książkę o. M. zamęt pojęć powstał widać z niewytłumaczalnego wprost u filozofa i teologa pomieszania dwóch rzeczy *beatitudo* (szczęśliwość nadprzy-

rodzona a wieczna, lub tej przedsmak) i *felicitas* (szczęśliwość ziemską). Czyżby bogata a piękna mowa ukraińska nie odróżniała ich wcale?

Dalej autor mówi o *zawziętych wrogach i światłych obrońcach* celibatu. Bywa i tak, ale bywa też czasem inaczej, nawet odwrotnie. Nie wolno tedy o wszystkich przeciwnikach celibatu mówić ryczałtem, że są razem jego wrogami i niema wśród nich ludzi ideowych, którzyby gorąco kochali Cerkiew. Również wśród obrońców celibatu zdarzali się i zdarzają nierazdoko świętoszkiwie, karierowicze, pochlebcy i służalcy. Znany jest także fakt, że dziewiczność ciała nie zawsze idzie w parze z dziewiczością ducha — i naodwrot. Mimo to, o. M. rozłożył światła i cienie tak, jak dawni malarze protestanccy, którzy umieszczali na swych płótnach Lutra zwykle w pobliżu okna, z wpadającym tedy promieniem słońca, sądzących zaś go kardynałów malowali w ciemnym



dzic fakt, że pomimo intencji, ziemia trafiła przeważnie do rąk chłopów białoruskich.

Z pewnością, że reforma rolna, będąca w polskiej rzeczywistości jakimś mitem nie tyle realnie gospodarczym, co politycznym — przyniosłaby Białorusinom duże korzyści nietylko ekonomiczne, lecz i polityczne. Ale nie należy ludzi się też, że na temle — w ramach dzisiejszej, a ewentualnie i przyszłej rzeczywistości polskiej — odbędzie się jakas rozgrywka idąca po myśli białoruskich ideałów narodowych... Gdyby nawet przyszła jakaś radykalna reforma rolna (na co się wcale nie zanosi), to z pewnością sprawiłaby dla wielu niespodziankę, gdyż nie tak dużo tej ziemi już pozostało. Już życie samo w znacznym stopniu tę reformę zrealizowało. A jeszcze wielkie obszary dworskich nieużytków i lasów małyby przyniosły korzyści chłopom białoruskim. Musielibyśmy tu wdać się w szczegółową analizę liczbowa agrarnych stosunków, któraby nasze poglądy potwierdziła — jednak na to brak miejsca w niniejszym artykule. Jeżelibyśmy zdołali p. H. B. przekonać, że w realnej rzeczywistości polskiej kurs antyobszarnicki nie jest identyczny z „pro-białoruskim” — to zadanie swoje uważalibyśmy za spełnione.

Przysłowie, że nieprzyjaciele naszych nieprzyjaciół są naszymi przyjaciółmi nie zawsze się sprawdza.

*Autochton*

## Jubileusz szkolnictwa białoruskiego.

(W dwudziestą rocznicę).

Charakterystyczną cechą młodego pokolenia inteligencji białoruskiej jest przeświadczenie, iż starsze pokolenie działaczy odrodzeniowych pracowało w warunkach białoruskiego życia wewnętrznego co najmniej identycznych z obecnymi. Do świadomości tych młodych z wielkim trudem tylko przenika myśl, że samo istnienie zorganizowanego społeczeństwa białoruskiego, narodowo myślącego i czującego, to przecie rzecz nowa — wynik uporczywej pracy pionierów odrodzenia, który ujawnił się dopiero w ostatnich dziesiątkach lat. To też szereg faktów i zdobyczy narodowych, które w swoim czasie miały znaczenie przełomowe i przed laty fascynowało ówczes-

nych działaczy, dziś ujmowany jest jako rzecz powszednia, naturalna, której brak nie da się nawet pomyśleć.

Tem chyba należy tłumaczyć brak szerszego zainteresowania *jubileuszem kulturalnym*, który z końcem roku bieżącego musiałby być w ten lub inny sposób przez młode społeczeństwo zaznaczony. Mamy tu na myśli zaistnienie przed 20 laty w Wilnie *pierwszych legalnych, istniejących otwarcie szkół białoruskich*.

Podkreślamy ostatnie wyrazy, gdyż młodzi badacze ruchu odrodzeniowego wśród Białorusinów powołać się mogą na znany fakt, iż już w okresie przedwojennym istniały białoruskie szkoły ludowe w Mińszczyźnie (w dobrach Magdaleny Radziwiłłowej), w Mohylewsczyźnie (w dobrach Teresy Gordziałkowskiej i innych). Tak, były tam szkoły białoruskie, lecz nieoficjalne, względnie nielegalne. Rosyjskie władze szkolne nie dopuszczały wykładania w szkołach po białorusku, i szereg szkół białoruskich istniał bądź nielegalnie, bądź pod szyldem rosyjskim, który przykrywał treść białoruską.

To też na uwagę zasługuje fakt, iż już w parę miesięcy po zajęciu Wilna przez wojska niemieckie, w jesieni roku 1915, w stolicy kraju naszego, powstają pierwsze *oficjalne i legalne* powszechne szkoły białoruskie. Inicjatorem i organizatorem szkół tych był ruchliwy *Białoruski Komitet pomocy ofiarom wojny*, który po ewakuacji miasta przez Rosjan i w emigracji na Wschód większości inteligencji białoruskiej, pozostał w Wilnie jako jedyna białoruska placówka reprezentacyjna.

Pierwsza szkoła powstała w lokalu b. kursów buchalteryjnych braci Mochowych przy ul. Mickiewicza d. 44, których właściciele przekazali Komitetowi prawo korzystania z umeblowania kursów. Do szkoły zapisało się około 50 dzieci białoruskich — z Łukiszek i Zwierzyńca. Chęć uczęszczania do szkoły białoruskiej była u dzieci zwierzynieckich tak silna, iż Komitet musiał wkrótce otworzyć nową szkołę — specjalnie dla Zwierzyńca, umieszczając ją w lokalu b. szkoły państwowej rosyjskiej (o parę domów za cerkwią). Bodaj jednocześnie powstaje szkoła na Antokolu — w domu inżyniera M. Prozorowa, który przed wyjazdem z Wilna, przekazał go do użytku Komitetu Białoruskiego. Wykorzystano tam sprzęt szkolny byłej szkoły żydowskiej. Nowootworzona szkoła białoruska w tem miejscu ściągnęła — oprócz

kości izby sądowej, dzięki czemu biedacy dużo tracili na wygładzie,

W książce o. M. mówi się o wstydzie, jaki niektóre funkcje ciała wywoływać w ludziach zwykły. W odnośnych rozdziałach żywo się odczuwa, jak bardzo przydała się autorowi poważna naukowa praca, traktująca dzieje wstydu w rodzaju ludzkim. A że takiej książki jeszcze niema albo nie miał pisać pod ręką, więc wypowiedział szereg zbyt apodyktycznych twierdzeń, które wypada brać krytycznie. Wszak tyle jest jeszcze w tej dziedzinie rzeczy *umownych!*... Trzeba jeszcze odróżniać precyzyjnie, ile w uczuciu wstydu się mieści chęci izolacji, zamiłowania do intymności... Absolutnie nie da się również ustalić, że sztuka panowania ducha nad ciałem, stanowi *non plus ultra* czci i godności ludzkiej, bowiem wtedy nieprześcignieni pod tym względem fakirzy indyjscy musieliby zostać dla nas wzorem naj-

wyższym do naśladowania, czego napewno o. M. nie miał na myśli.

Obrońcy celibatu lubią szczególnie uskarżać się dziś na niesłusznie zarzucany im brak szacunku dla małżeństwa. Nawet się obrażają o to. Ten zarzut można i trzeba w całej rozciągłości postawić i utrzymać względem o. M., który wprawdzie stara się pisać ostrożnie, lecz mimo wszystko pisze *tak*, że ton zasadniczy właśnie zdradza ten brak szacunku. Jednak przysłowie francuskie mówi, że *ton tworzy piosenkę*, nietyle słowa. Zakonnik, świecki kapłan bezżenny, alumn seminarjum duchownego... wieleż mogą rozumieć z tajemnicy małżeństwa?! A jeśli tak jest, to sama roztrpność już nakazuje im powściągliwość w sądach i nie ferowanie ich zawsze na niekorzyść godności małżeństwa. W. Rozanow poświęcił cały tom tej tak mało zbadanej jeszcze sferze życia (*W mirie nejasnago i nerieszennago*), nasi zaś czerńcy



dziatwy białoruskiej — znaczną ilość dzieci żydowskich, które dawniej uczęszczały do własnej szkoły w tym lokalu, i dopiero po pewnym czasie — dzięki interwencji białoruskiej — odnośnych czynników społeczeństwa żydowskiego — dla dzieci tych stworzona została w tejże dzielnicy szkoła żydowska. Dalej powstały szkoły białoruskie na Śnipiszkach (ul. Artylewyska), na Zarzeczcu (dzisiejsza ul. Młynowa, dom Bracki), przy ul. Ostrobramskiej 12. Wiosną r. 1916 pracowało w Wilnie łącznie sześć powszechnych szkół białoruskich.

Szkoły — wobec nader ciężkich warunków materialnych biedniejszych warstw ludności miasta — musiały nie tylko uczyć dzieci, ale i karmić i odziewać. To też Komitet Białoruski stale walczył o jadło i ubrania dla dzieci z władzami okupacyjnymi, które wydziały bardzo skąpe racje ludności wileńskiej. Z sum społecznych, płynących z zagranicznych komitetów dla ludności „polskiej, białoruskiej i litewskiej”, dysponujące temi sumami instytucje polskie żadnych subwencji Komitetowi Białoruskiemu nie udzielały, proponując kierować działy białoruską do... szkół i ochronek polskich!

Celem przeszkolenia sił nauczycielskich, powołanych do pracy w szkołach białoruskich, już w grudniu roku 1915 powstały wieczorowe *Białoruskie Kursy Nauczycielskie*, zorganizowane przez tenże Komitet Białoruski, w lokalu szkoły przy ul. Mickiewicza 44. Pracowali tam jako wykładowcy: Alojza Kejrysowa („Ciotka”), Wacław Łastowski, Jan Łuckiewicz, Antoni Łuckiewicz, Juljana Menke, Łucja Menke, Bolesław Poczopka. Uczęszczało na kursy kilkadziesiąt osób — zarówno już zatrudnionych w szkolnictwie białoruskim, jak i reflektujących na pracę nauczycielską na prowincji, gdzie siły nauczycielskie były nagwałt potrzebne. Te to młode siły, już na jesieni roku 1916, obejmują posady w szeregu szkół wiejskich w okolicach podwileńskich (Biały Dwór, Miedniki, Cudzieniszki, Szumsk, Worniany i t. d.).

Jednocześnie z akcją szkolną w Wileńszczyźnie, zapoczątkowuje taką akcję w Grodzieńszczyźnie działacz białoruski Dziekuć-Malej (Krynki). Powstaje szkoła białoruska w Grodnie — w murach monasteru Borysohlebskiego, kierowana przez Hoykowskiego. Za temi dwiema (Krynki i Grodno) idzie szereg innych.

Po roku pracy Białoruskich Kursów Nauczyciel-

skich w Wiinie, władze niemieckie nie udzieliły im prawa na dalszą działalność, same natomiast otworzyły *białoruskie seminarjum nauczycielskie w m. Swiśtoczy*, pod kierownictwem niemieckiego dyrektora Bendziechy i pomocnika jego, zaproszonego z Wilna, Poczopki. Seminarjum cieszyło się znaczną frekwencją, co umożliwiło obsadzanie przez absolwentów seminarjum nowych szkół białoruskich, których liczba na terenie okupowanej przez Niemców Wileńszczyzny i Grodzieńszczyzny w roku 1918 wynosiła łącznie około 200.

Zaznaczyć należy, iż Rosjanie, ewakuując nasz kraj, wywieźli wszystkich czynnych nauczycieli państwowych szkół ludowych rosyjskich — w znacznej mierze Białorusinów. To też społeczeństwo białoruskie, zdziśiatkowane przez ewakuację, musiało dokonać nadzwyczajnego wysiłku, by zorganizować swe szkolnictwo narodowe i obsadzić szkoły odpowiednimi siłami. Niestety, cała dokonana praca została obrócona wniwecz z powodu zmian politycznych, jakie na ziemiach tych zachodziły. I tylko po paru latach, w okresie Litwy Środkowej (za rządów W. Abramowicza) na terenie Wileńszczyzny zapoczątkowana została nowa akcja szkolna, która dała przeszło 200 nowych szkół białoruskich i seminarjum nauczycielskie w Borunach (zamknięte za rządów p. Meysztowicza po paru miesiącach istnienia — na żądanie okolicznych polskich obszarników!). Lecz i ta akcja, kierowana przez Br. Taraszkiewicza, trwała niedługo. Po wcieleniu do „Macierzy” kraju naszego, szkolnictwo białoruskie zaczęło systematycznie likwidować, i dziś na terenie całej Zachodniej Białorusi istnieje zaledwie kilkadziesiąt szkół powszechnych, noszących (słusznie czy niesłusznie — to inna kwestja!) miano „białoruskich”.

A tam, na Wschodzie, na Ziemiach Sowieckiej Białorusi, powszechne szkoły białoruskie liczone są *tysiącami*, szkoły średnie — *dziesiątkami*. A tam istnieje w Mińsku Uniwersytet Białoruski, Białoruska Akademia Nauk i cały szereg specjalnych uczelni wyższych... Co za rażący kontrast!.. H. B.

## Gdańsk i Kłajpeda.

„Liet. Žinios” w artykule p. t. „Polityczna akrobatyka narodowych socjalistów” podkreśla różnicę w traktowaniu przez opinię niemiecką dwóch analo-

wszystko wiedzą i wszystko rozumieją swą rzekomo nieomylną intuicją!

Niema dwóch zdań, że nawet starożytność pogańska w okresach lepszych chyliła czoło przed dostojnością dziewictwa. Mówiła przecież: *Bojaźnią Bożą i czystością dziewic państwa stoją*, acz była w tem jednocześnie troska właśnie o pokolenie przyszłe, których matkami z czasem będą te w czystości chowane dziewice. Naprawdę ubolewać dziś należy, że cena dziewictwa tak znacznie się obniżyła. Zmarły poeta Ejsmond stwierdził ten stan rzeczy w dwuwierszu:

*W szesnastym wieku w Polsce wyginęły sobole,  
Kiedy wyginęły panny — o tem milczeć wolę.*

Współczesny człowiek brzydzi się i reaguje żywo na wszelką niezdrową przesadę w dziedzinie wskazań moralnych, pragnąc wreszcie usłyszeć nowe uzasadnienie prawd dawnych. Dziś słowa Pawłowe: *Kto bez żony jest, stara się o to, co Pańskiego jest;*

przypominają zwykle laikom oddawna a dobrze znane im typy celebów, siedzących jednak wyżej uszu w najpospolitszych interesach materialnych, więc skapców, handlarzy, piniaczy... z jednej strony, a np. ideowych żonatych lekarzy, chrześcijan i żydów, gotowych dniem i nocą oderwać się od żony i dzieci, by pośpieszyć do *zakaźnie* chorego pacjenta, z drugiej. Dlaczego nikt z obrońców celibatu nie słyszy tego, jak skrzeczy rzeczywistość w odpowiedzi na ich wyrozumowane argumenty! Św. Paweł oczywiście mówi i pisze prawdę, ale nie każdy celeb ma prawo moralne tak bezceremonjalnie chować się i przykrywać powyższemi słowami wielkiego Apostoła, jeśli nie chce wyglądać podobnie, jak poprzebierane za duchownych zwierzęta na ilustracjach Kaulbacha do *Reinecke Fuchs*.

O. M. zupełnie, ale to zupełnie zignorował, że wszyscy ludzie różnią się pomiędzy sobą co do dyspozycji płciowych, bądź przyrodzonych, bądź naby-



gicznych do pewnego stopnia zagadnień Gdańska i Kłajpedy.

Gdy się rozpoczęła wojna włosko-abisyńska i gdy zastosowano względem Włoch sankcje, narodowo-socjalistyczne Niemcy dziwnie się jakoś uspokoiły. Czy znaczy to, że rasistyczna Rzesza istotnie przestała działać, opanowała swe imperjalistyczne namiętności i naprawę się uspokoiła? Nic podobnego. Dla narodowego socjalizmu, jako dla odmiany faszyzmu, wszystkie środki działania są dopuszczalne i uczciwe. Jest to bowiem nacjonalistyczny imperjalizm najczystszej marki, podstępny, okrutny, bez żadnej etyki. O ile więc nieco się uspokoił, to tylko dlatego, że władz obecnie za kulisy, gdzie przędzie podziemną pajęczynę i przygotowuje teren na przyszłość. Chce on wyzyskać ciszę, podczas gdy inni hałasują.

Sądząc z niektórych objawów działalność narodowych socjalistów skierowana obecnie została na południe i wschód. Austrię usiłuje się opanować „łagodnie”, drogą spokojnego porozumienia. Na wschodzie zaś, gdzie kwestja tak gładko nie daje się rozwiązać, hitlerowcy nie krepują się w wyborze drastycznych nawet środków.

Najbliższym i pierwszym celem ekspansji rasistów jest Gdańsk. Drugim celem jest oczywiście Kłajpeda. Kłajpedzie poświęcają obecnie hitlerowcy bardzo wiele uwagi, zwłaszcza w związku z odbywającą się w Kłajpedzie pracą „odbudowy”. Postępowanie hitlerowców jest wręcz akrobatyczne.

Opinia Trybunału Haskiego, skierowana przeciwko posunięciom hitlerowskich władz Gdańska, dążących do ujednostajnienia ustawodawstwa Wolnego Miasta z ustawodawstwem trzeciej Rzeszy, budzi w prasie niemieckiej największe niezadowolenie. Dąży się wszelkimi sposobami do uzasadnienia poczynań władz gdańskich i do wykazania, że wtrącanie się [Rady L. N. do spraw ustawodawstwa Wolnego Miasta jest bezprawnym złęzaniem suwerenności Gdańska. Tak pisze „Deutsche diplomatische Korrespondenz” z dnia 5 grudnia.

Gdy jednak narodowi socjaliści mówią o Kłajpedzie, rzecz przedstawia się całkiem odmiennie. W stosunku do Kłajpedy prasa niemiecka wciąż się domaga, by Liga Narodów i sygnatarjusze konwencji kłajpedzkiej wtrącali się do wykonywania statutu kłajpedzkiego. Dzięki stosowaniu takiej podwójnej miarki powstaje istna akrobatyka polityczna, którą

zauważył i bardzo trafnie określił prezes komisji spraw zagranicznych w parlamencie francuskim p. Bastide.

O tem, że hitlerowcy poświęcają sprawom wschodnim wielką uwagę świadczy fakt następujący: 23 listopada odbył się w Poczdamie wiec pod nazwą „Wieczoru kłajpedzkiego”. Na wiecu tym rzekoma b. kłajpedzianka Elżbieta Bronner wygłosiła jętrzące i pełne nienawiści do Litwy przemówienie. Za temat obrała sobie prelegentka zagadnienie „co się dzieje na obszarze Kłajpedy”, oświadczając, że poprzednie jej mowy na ten temat były w Niemczech jedynie głosem wołającego na puszczy, podczas gdy dzisiaj sprawy kłajpedzkie stały się sprawami narodu niemieckiego. Kłajpedzianie nie są żadnymi Niemcami zagranicznymi i Traktat Wersalski nie osiągnął żadnego ostatecznego rozstrzygnięcia odnośnie losu ich niemieckości.

Z powyższego wynika, jak imperjalizm niemiecki wyciąga wyhodowane od czasu wojny światowej pazury na wschód. Podobne zakusy Mussoliniego do Abisynji zachęcają jedynie faszystów niemieckich do akcji. Na szczęście Liga Narodów stworzyła według Bastide dobry precedens i zmniejsza pewne apetyty. W związku z tem posługują się hitlerowcy akrobatyką polityczną.

Jest to jednak taktyka, wymagająca wielkiej uwagi.

## FELJETON.

# Zyczenia noworoczne.

Niedługo przekroczymy próg nowego 1936 r. Pożegnanie starego roku i powitanie nowego nastąpi prawdopodobnie w rozmaitych knajpach, które na ową noc przybiorą specjalnie uroczyste oblicze. Podniosły zwyczaj gromadnego urzynania się w lokalach publicznych z okazji zmiany roku kalendarzowego jest zdobyczą Zachodu, która przywędrowała do nas jako wiew cywilizacji i kultury.

Żegnając ozięble odchodzącego steranego starca, ulokujemy wszystkie nasze nadzieje w uroczym młodzieńcu, który wyprowadzi nas z ziemi niedoli do krainy obiecanej. W ciągu roku młodzieniec zestarzeje się, zawiedzie niechybnie nasze oczekiwania

tych. Dlatego nie wolno upraszczać sobie zadania, traktując niemal wszystkich jednakowo. Toż nawet współczesna nauka gospodarstwa wiejskiego każe traktować niejako indywidualnie każdą sztukę bydła. Czyżby ludzka indywidualność mniej tu wymagała uwzględnienia?! Podobnie jak wśród niewiast są niewyżyte matki, które w małżeństwie bezdzietnym, przeżywają istne katusze i wyrodnieją, ulegając zboczeniu przeróżnym, — są też wśród mężczyzn niewyżyci ojcowie, niema chyba nieszczęścia większego, gdy taki niewyżyty ojciec znajdzie się tak lub owak, w stanie kapłańskim lub zakonnym. Trzeba nadzwyczajnych łask, jeżeli nie cudu, by taki ostał się na drodze cnoty lub nie postradał rozumu.

Zahamowany popęd płciowy ma dwie drogi: sublimację lub konwersję (zboczenie).

Niech nam wolno będzie przytoczyć jeden tylko przykład. Pewien celebś np. trzyma w samej plebanji siedem kotów, troje gołębi i jedną kawkę,

a każdą wolną chwilę (ma ich do zbytu) spędza wśród tej przybranej rodziny. Gdy zdechnie mu czasem kot, kładzie go na poduszkę, trzyma w mieszkaniu dób parę, wreszcie sam niesie do ogrodu, grzebie i sadi na mogiłce różę. Zdarzają się jeszcze gorsze „celibatu mizerje”! Czyż można wobec powyższego (a takich faktów jest sporo), wywodzić, przymknawszy na straszną rzeczywistość oczy, słowicze trele, że celibat przynosi zawsze tylko słodkie a wonne owoce?!

Wiemy też, że w mniszej republice na górze Athos, w obrębie murów klasztornych, nie wolno przebywać już nietylko żadnej kobiecie, lecz nawet klaczom, krowom, oślicom, kozom i in. samicom...? Jak zabójczą wymowę ma podobny zakaz!... Widać stąd, że celibat potrzebuje gleby odpowiedniej, by mógł wydać owoce upragnione. U o. M. jednak wszystko to wygląda nader prosto a łatwo.

Nawet dzieje naszych prowincyj kościelnych



i znów rozstaniemy się z nim, jak z nieużytecznym gratem.

Istnieje zadziwiająca analogja między latami i... ministrami. Każdy nowy minister z zasady jest genjuszem. Łączymy się z nim wszystkimi cnotami ewangelicznymi: wiarą, nadzieją i miłością. On sam utwierdza naszą wiarę w niego, albowiem z młodzieńczym ferworem ogłasza szumne deklaracje, że ból, rozpacz i wszelka nieprawość są już poza nami, że on spowoduje wydanie jeszcze kilkudziesięciu nowych ustaw do kilku tysięcy już istniejących i że wówczas nastąpi u nas raj. Dopiero, kiedy taki minister ustępuje, dowiadujemy się niespodzianie, że to był kretyń. Nic nie wie i nic nie rozumie. Odchodzi w niebyt, jak zgrzybiały i stary rok.

Życie ministra jest, jak życie kwiatka. Minister, obejmując tekę, rozkwita odrazu bujnym kwieciem. W miarę jego urzędowania, listki jeden po drugim opadają. Gdy już ustępuje, pozostaje tylko goła łodyga bez liści i kwiatów. Nawet pies kulawy nie zawsze się przy niej zatrzyma.

Że też znajdują się w Polsce jeszcze kandydaci na ministrów... Żyje sobie taki pan zacisznie i spokojnie, jest sobie profesorem, wojewodą, albo dyrektorem jakichś zakładów państwowych, i siedzi tam, jak u Pana Boga za piecem. Ma zwykle poważanie u ludzi i zabezpieczenie na starość. Aż tu nagle depresja i wezwanie na Zamek: — Będziesz Pan ministrem... I cała idylla pryska. Poczyna się gwałt, rwetes, tonięcie w trzęsawisku ustaw, kłótnie rodzinne. Minister na nic niema czasu, bo musi ciągle uzgadniać, lawirować, reprezentować, politykować i układać szerokie programy, skazane z góry na niewykonalność. Tak się męczy i miota przez rok lub dwa, aż wreszcie wyciśnięty i zdarty, z zachwianą równowagą nerwów, — ustępuje z trzaskiem, albo bez trzasku, powiększając liczną już w Polsce kasetę smutnych ludzi, t. zw. byłych ministrów.

Aż żal bierze, jak się przegląda długą listę tych zmarnowanych, okwitłych ludzi, którzy już na wieki stracili radość życia. Łzy cisną się do oczu, jak się pomyśli, że i ci dzisiaj kwitnący odejdą ze swoich fotelów, zostawiając nas zawiedzionych i zgorzkniałych. Dlaczegoż to w Polsce, kraju mlekiem i miodem płynącym, — jest tak bardzo nieurodzajna gleba dla ministrów?... Ktoś usposobiony złośliwie mógłby powiedzieć, że tutaj chodzi nie o glebę, lecz raczej o ziarno, z którego powstaje „roślina ministerjalna”.

Najlepsza gleba nie wyda z owsa ryżu. Nie chce być złośliwym, zwłaszcza jeżeli chodzi o ministrów, boć to zawsze niepolitycznie. Wolę całkiem poważnie, choć to nie odpowiada formie feljetonu, postawić własną diagnozę chorób ministerjalnych: *bezideowość społeczeństwa i wślad za nią idąca anemja organizmu państwowego*.

Duże państwo o 33 milionach ludności. Państwo niejednolite narodowościowo. Państwo z historycznymi odrębnościami krajowymi. Państwo zjednoczone tylko jednolitością swej biurokracji, usiłujące okryć wszystkich różnorodnych obywateli jednym płaszczem, uszytym ze strzepów biurokratycznych, pozostałych po zaborcach i łatanych płacami własnej biurokracji. Ta łatanina urzędowa nie wytworzy przynigdy jednolitej ideologii kolektywu państwowego. Nie okryje skutecznie ani ziemi ukraińskiej, ani tułtejszego kraju litewsko-białoruskiego.

Brak wspólnej idei narodowej wytwarza specyficzny nierówny klimat w różnych połaciach państwa, atmosferę malkontencką, w której rządzić jest najtrudniej. Spójrzmy po sąsiadach. Wszędzie widzimy ideę, trafną czy nietrafną, historia pokaże, ale ideę panującą, ożywiająca wszystkich, a zwłaszcza rządy. Stalin, Hitler, Mussolini to są nazwiska — programy. Nazwiska fascynujące społeczeństwo. Tam jest ogień, który ogrzewa całe państwo. W Polsce — centralizacja biurokratyczna. Dziesięć tysięcy ustaw. I wszystko.

Nie zwalajmy całej winy na ministrów. Ci biedni ludzie dobrze się napocą podczas swej kadencji, aby kręcić jakoś bicze z piasku. Są bezsilni, bo nie mają w ręku jedynej broni, potrzebnej do rządzenia w dzisiejszych społeczeństwach — idei zadowalniającej wszystkie połacie całego państwa.

Czegoż życzyć Czytelnikom przy nadchodzącym Nowym Roku?... Oby w roku przyszłym zakieikowała w państwie polskim myśl płomienna, ogrzewająca nie tylko panującą biurokrację, lecz i rzesze obywateli, mających poczucie swej odrębności krajowej, nie tylko rządzących, ale i rządzonych. Wówczas rola ministrów będzie nierównie łatwiejszą.

Bolesław Szyszkowski.

## Nieuwieńczone zasługi.

Żałosne życie literackie Wilna nie doczekało się, niestety, oficjalnej aprobaty. Deszcz złotych

znają rzadkie wypadki, gdy biskup sam doradzał i ułatwiał niepowołanemu celebrowi przejście do stanu świeckiego — *ad vota saecularia*, i to nieraz jednostce tyleż zdolnej, ile wartościowej. Wiemy o zarządzeniach powojennych Benedykta XV w sprawie wykończonych kapelanów wojennych armji włoskiej. Więc w pochwałach celibatu i dziewictwa ma być takt, umiar, dobry smak, no i dobitne zawsze podkreślenie potrzeby dyspozycji przyrodzonej do takiego życia. Współczesnego człowieka nie pociągną do celibatu i dziewictwa takie nazwy, jak dana matce zakonnicy — *teściowa Boga*, chociażby to były słowa samego św. Hieronima. Religijność ma być w swym wyrazie krytyczna, a w poczuciu zdrowa. Wtedy tylko spełni swe zadanie.

\*

Są w książce o. M. wycieczki w przeszłość Kościoła, gdzie autor poszukuje argumentów dla

swej tezy. Jakoż i znajduje je. Są mocne, ale zdarzają się i kruche. Nakazując uczniom wyrzec się nawet matki, Chrystus pamięta o swej własnej, w sposób najczulszy, nawet na krzyżu. Więc tekst odnośny sprawy celibatu jeszcze nie przesadza i nie może służyć za klasyczny jej argument.

Wyraźnie się przytem odczuwa, jak mało jeszcze opracowana jest naukowo historia Kościoła Wschodniego. Zwłaszcza potrzebą palącą jest ujęcie dziejów jego syntetycznie. Z braku tego linja wykresowa historii małżeństwa księży i celibatu na wschodzie jest nie tylko zygzakowata, lecz raz po raz urywa się i trudną jest do zrekonstruowania w całości.

Z cytowanych u o. M. dawnych konstytucyj cerkiewnych dowiadujemy się szeregu rzeczy trudnych do zrozumienia nie tylko dla laika. Weźmy np. taką. Żonaty kapłan obrz. gr.-kat. pierwiej niż przystąpić do odprawiania liturgji, ma się starać o speł-



i srebrnych „wawrzynów”, który w myśl słów popularnej piosenki spadł sobie równo na kwiatki i bratki niemal całkowicie ominął sprawców „Śród literackich”, „Smorgonij” i „Izb Kultury”. A szkoda, bobyśmy mogli wskazać wielu kandydatów na odznaczenie np. za krzewienie kultury polskiej na „emigracji”, pokutującej na dzikich „Kresach Wschodnich”. Mimo młodych lat zasługuje z pewnością na wawrzyn i sympatyczny redaktor „Kolumny Literackiej” przy „Kurjerze Wileńskim”, krytyk literacki i student humanistyki w jednej osobie, Józef Maśliński. Jego to niewątpliwą zasługą jest zapoznawanie tępych wilnian z wielką poezją awangardową, zdecydowanie przekreślającą „grafomaństwo rozwodnionych strofok i lansującą nowych wielkich proroków „czystej liryki” — Brzękowskiego, Przybosia, Piętaka, Maślińskiego i legionu innych z największym Tadeuszem Peiperem na czele, który z podróży po Hiszpanji (sic) przywiozł te nowe objawienia przed laty do Krakowa i dziś szczęśliwie doczekał się licznych adeptów.

Ale żart na stronę. Wymienieni poeci nie zasługują wyłącznie na kpiny. Ich rola w literaturze nie sprowadza się jedynie do czczej fanfaronady i apodyktycznego przekreślenia dorobku i pracy szeregu dobrych pisarzy współczesnych, którzy przeszedłszy szkołę „awangardyzmu”, wrócili jednak do „przestarzałych” form wiersza, rezygnując z „niezrozumiałstwa” i nowatorskiego uprawiania „czystej liryki”, w wydaniu Peipera wygiądającej jak szereg rebusów, w wydaniu jego następców — jak testy psychoanalityczne. Praca liryków — awangardystów nie jest tak bezsensowna i bezpodstawną: jest dobrą zaprawą dla współczesnego poety i lekceważyć jej, jako pracy ściśle laboratoryjnej — nie należy. „Sam” Maśliński od czasu do czasu (chce się powiedzieć złośliwie: lucida intervalla) podkreśla ten moment „laboratoryjności” twórczości czystych liryków, lecz zbyt często o tem zapomina i w rezultacie w jednym z numerów swej „Kolumny” zwraca się do swych współpracowników z kategorią nauką: „proszę uprzejmie P. T. Autorów o *nienadsyłanie* mi wierszy, sprzecznych z reprezentowanymi tu pojęciami”. Jednym słowem dla rozwadniaczy strofok, „kataryniarzy” — wstęp wzbroniony.

Mojem skromnym zdaniem szkodnictwo „Kolumny literackiej” na tym odcinku polega na tem, że propaguje ona — mimo odmiennych pozorów —

dzenie poprzedzającego tygodnia lub trzech dni we wstrzemięźliwości małżeńskiej. Dobrze. Ale co ma nieborak począć, jeśli w międzyczasie zdarzy się przypadkiem pogrzeb i trzeba niezwłocznie celebrować liturgję żałobną?... Należy więc sądzić, że ten przepis nie zawiera nakazu ścisłego, lecz tylko pewną dyrektywę dyscyplinarną. Oto jeden z wielu przykładów, jak życie koryguje i łagodzi ustawy dawne, wyszłe z klasztorów i w nich tylko możliwe do zachowania. Naogół cały spór dokoła celibatu obowiązkowego odbywa się w płaszczyźnie odwiecznego ścierania się negacji życia (*Lebensverneinung*) z jego afirmacją (*Lebensbejahung*). Ten przegląd historyczny rozwoju doktryny o celibacie należy do najpracowitszych ustępów książki o M.

Wynosząc bezżeństwo kleru, autor nie waha się twierdzić, że małżeństwo ustanowione jest *wyłącznie* na służbę przyrodzie, dla doczesnego porządku rzeczy i t. d., jakby nie było ono dla

łatwiznę literacką, wskazuje początkującym autorom drogę, na której najłatwiej jest się zamaskować i prześlizgnąć grafomanowi wobec skąpej ilości kryteriów formalnych. Jakże tutaj można dowieść autorowi, że w jego wierszu mamy kulawy rytm, czy nieprzekonywujący rym, czy ubóstwo epitetów? Atakujący namiętnie awangardystów krytyk K. W. Zawodziński przytacza taki np. wierszyk:

#### MÓJ STÓŁ

Mam taki stół:  
dość wysoki  
prostokątny  
lekko szary.

Jest bardzo dobry:  
pozwala ciężkie dzieła rozłożyć,  
rosnąć książkom wozwyż, —  
i długo pisać w nocy.

Stół jest moim portretem.

Maśliński nie wydrukowałby tego wiersza na pewno — to inna sprawa. Nie jest on w gatunku tej liryki, jaką reprezentuje „Kolumna”. Ale czyż nie szkoda, że dobrze zapowiadający się młody talent Jana Olechny błąka się po bezdrożach mniejszej linii oporu w wierszach, które zdradzają nietyle cechy awangardyzmu, ile niedbałości. To, co powinno stanowić szkic, bruljon wiersza, jest dzięki chaosowi pojęć w stylistyce awangardy — drukowane i stawiane jako przykład.

Historja literatury owszem, skrzętnie notuje dzieje rozmaitych prądów literackich. Niewątpliwie, rzecznicy „czystej liryki” również będą mieli „ciepłą wzmiankę”, tak, jak ma swoją pozycję i gongoryzm. O takim kierunku, będącym zniekształconą, skarykaturowaną kontynuacją baroku wiedzą specjaliści. Oczywiście o takim np. romantyzmie wiedzą wszyscy.

*Teodor Bujnicki.*

## Wygnaniec przez nieporozumienie.

Biskup A. Krasieński pociąga naszą uwagę jako sternik diecezji wileńskiej czasu powstania styczniowego i jako literat, tłumacz i polonista. Krótki a treściwy, przytem całkiem pewny co do chronologii, według Wołyniaka nawet jedyny, życiorys pasterza wileńskiego zawdzięczamy świetnemu pióru żyjącego dziś w Krakowie Marjana Bartynowskiego (por. wi-

każdego wierzącego odmianą tylko służby Bożej. Chrystus do godności sakramentu nie podniósł ani jedzenia, ani picia, ani snu, podniósł tylko małżeństwo. Kościół uczy, że rodzice, to *pomocnicy Boży*, działający w rodzinie jako zastępcy Ojca Najwyższego. *Komu idzie o religijny charakter małżeństwa, niech nie obdziera go z tego pierwiastku*, bo jest to woda na młyn laicyzacji życia ludzkiego. Niezapomniany Sołowjew mawiał: *Czystny brak — samaja wyższaja forma sowremennago asketizma*. Trudno o lepsze a prostsze ujęcie.

Dziś, gdy zewsząd idzie propaganda, by obdzielić małżeństwo z jego dostojności i przymiotów, trzeba wszystko czynić, by zabezpieczyć tę krynicę. Nie zastąpi jej nic, bo istnieje z przeznaczenia Bożego. W swym za daleko posuniętym mizoginizmie o. M. wypowiada w swej książce cały szereg poglądów, które stoją prawie na poziomie wielu naszych tercjarów i dewotek. POCO jednak sprzymierzać się



leński *Dwutygodnik Diecezjalny* Nr. 19 i 20 z r. 1913). Po wojnie wzbogaca znowu naszą wiedzę o losach tego biskupa na długim wygnaniu ciekawa broszura A. Laskowskiego: *Biskup Krasiński na wygnaniu* (Wilno 1922), która dziś stanowi już — rzecz znamienita — rzadkość bibliograficzną.

Adam-Stanisław Krasiński, urodził się 24.XII 1810 w Welniczach na Wołyniu. Uczył się najprzód w szkołach bazylijskich w Hoszczy, potem u pijarów w Międzyrzeczu Koreckim, z którymi stosunek ścisły zachował aż do zgonu. I tu wyłania się pierwsza kwestja sporna życiorysu biskupiego: czy bp Krasiński był pijarem? Był przecież w nowicjacie pijarskim w Lubieszowie na Polesiu, uczył w szkole klasztornej, tam i w Wilkomierzu, potem słuchał lekcyj w wileńskiej akademii duchownej, mieszkając też u pijarów przy kościele św. Rafała w Wilnie. Zostawszy kapłanem, wyjechał rychło do Petersburga na nauczyciela szkoły przy zostającym znowu pod zarządem pijarów kośc. św. Stanisława. Gdy wrócił do Wilna, mieszkał jako pijar, choć bez profesji, w wynajmowanym przez nich domu Pilchowskiego (pl. Orzeszkowej 9).

Po powrocie z wygnania zamieszkał w Krakowie, gdzie osiadł u pijarów i dopiero pod sam koniec życia, przeniósł się do pałacu biskupów krakowskich. Ponadto krakowskie kolegium pijarów przechowuje darowaną mu przez biskupa książkę, gdzie podpisał się nawet z dodatkiem: *e Scholis Piis* (stąd skrót S. P.).

Nic więc dziwnego, że nawet tak poważne wydawnictwo jak *Encyklopedia Nowodworskiego* mówi o sekularyzacji bpa Krasińskiego, inni znowu utrzymują że wystąpił przed złożeniem ślubów. Jakże tedy było? Sprawę tę ustalił znakomity monastjolog J. M. Giżycki (Wołyński) w liście do piszącego (15.XI 1913 z Krakowa), gdzie mówi: *profesji Krasiński nie składał, ergo Pijarem nie był!* Ponieważ ślubów po nowicjacie nie złożył, nie mógł tem samem ani sekularyzować się, ani formalnie wystąpić. W żadnym bowiem związku prawnym z pijarami nie był, łączyła go tylko z nimi wypróbowana zażyłość przyjacielska, tak zrozumiała u byłego nauczyciela i oświatowca z zasłużonym w Polsce dla oświaty zakonem.

Drugą kwestją sporną życiorysu jest, *gdzie właściwie bp Krasiński pobierał wyższe wykształcenie teologiczne*. Bartynowski mówi, że w połowie 1835 r.

wyjechał z Wilkomierza do Wilna i był słuchaczem Akademii Duchownej. Był tylko słuchaczem, nie studentem, skoro Bieliński go nie wymienia wśród wychowanków b. uniwersytetu wileńskiego. A i słuchaczem był wcale krótko: przyjechał do Wilna w połowie r. 1835, a w r. 1837 już wyjechał do Petersburga. W r. 1839 otrzymał w Wilnie stopień magistra św. teologii, doktorat zaś z niej otrzymał już w r. 1858 w Petersburgu. Krakowskie wydawnictwo o.o. jezuitów, ogłaszając w r. 1931 ponownie *Trzysta zdań dwuwierszowych* bpa Krasińskiego, poprzedziło je krótką wiadomością o życiu autora; w której czytamy, że ks. Krasiński w r. 1838 (sic)... został profesorem... petersburskiej (sic) akademii duchownej, gdy tymczasem akademię duchowną z Wilna przeniesiono nad Nowę dopiero w r. 1842! Tak więc odpada jego profesorstwo akademickie. Naogół chronologia życiorysu bpa Krasińskiego nie pozostawia na to czasu, bowiem po ukończeniu studjów teologicznych, młody magister stanął od razu do pracy w Giedrojach, dojeżdżając też czasem do Wilna dla wygłaszania kazań w katedrze.

Tyle co do kwestyj spornych życiorysu bpa Krasińskiego.

\*

Dla jakich przymiotów ks. kan. dr. Ad. St. Krasiński został biskupem wileńskim? Literat, naukowiec, oświatowiec... Nie są to wszystkie kwalifikacje, któreby specjalnie zalecały kogoś na to wysokie stanowisko naogół, zwłaszcza w Wilnie, gdzie już poprzednik wielce lojalny bp Kłagiewicz miał wielkie kłopoty z rządem i spędził czternaście miesięcy na wygnaniu w Jarosławiu. Wiedzy, taktu, powagi, inteligencji... miał nasz nominat poddostatkiem, ale czy miał jakieś dane na administratora i gospodarza obszernej diecezji? Rozbudował seminarjum duchowne, szerzył oświatę i trzeźwość. Dla literatów urządzał u siebie wieczory czwartkowe.

Był najzupełniej lojalny względem rządu i jako taki przeciwny powstaniu r. 1863, podobnie jak i jego najbliżsi dwaj sąsiedzi, bp sejneński Łubieński i bp żmudzki Wołoncewski. Lojalność ta była nieprzeciętna, skutkiem czego wkrótce po przybyciu do Wilna, bp Krasiński znalazł się w sytuacji niezmiernie trudnej, pomiędzy dyktaturą Murawjewa a fermentującym patryjotycznie społeczeństwem polskim. Katedra wileńska stała się wówczas miejscem manifestacji politycznych. Jak przytem mało liczone się

nam duchowo z tym elementem, kiedy sam Kościół jawnie odchodzi dziś w praktyce coraz bardziej od urzędowego dotychczas mizoginizmu i wkłada na barki nawet młodych kapłanów trudną a dość niebezpieczną pracę organizowania w przeróżne zrzeszenia dziewczynek w wieku szkolnym, dorastających panien, matek, wreszcie starszych kobiet? Jeszcze temu lat dwadzieścia można było pozwanym zostać do sądu duchownego za to, za co dziś nikt z księży otrzymuje wyróżnienia i pochwały. Życie Kościoła nie stoi na jednym miejscu.

Część historyczną swej pracy zakańcza o. M. słowami, z jakich widać, że uważa ją przedwcześnie za kompletną tak rozmiarem, jak treścią, jakby cały materiał historyczny był w tej kwestji przezeń wyczerpany. Tymczasem historia, według Henri Pirenne'a, jest zawsze tylko syntezą i hipotezą. Znamy ją dotychczas tylko *od strony dobrej* (reprezentacyjnej frontowej!), gdy poznanie całości

wymagałoby przestudjowania również tego, jak wygląda historia *od strony złej* (od podszevky, od podwórza). Zwłaszcza w kwestji celibatu taka wszechstronna znajomość tematu jest niezbędna. Dodajmy jeszcze niemożliwość operowania w tej kwestji jakąś sprawdzalną statystyką, a zrozumiemy, jak są kruche podstawy historyczne zagadnienia omawianego.

Brak ten chce wyrównać o. M. swą wyćwiczoną dialektyką, jak gdyby ona sama zdolna była wystarczyć w kwestji wielce skomplikowanej, gdzie do głosu dojsz tu winien psycholog, psychjatra, neurolog... Swoista ta nietyle logika, ile osobliwa jakaś logicystyka cechuje całą pracę o. M., przeważnie zaś część jej polemiczną, w której autor omawia jeden po drugim ważniejsze trudności i uśmierca w swem mniemaniu zarzuty przeciw bezżenności kapłańskiej. Wobec wybitnie polemicznego charakteru książki, szczególnie są w niej nie na miejscu wszelkie wynurze-



z bp Krasińskim, świadczy fakt, że jak pisze ks. W. Czeczott w broszurze *Kapłan wobec polityki* „w Wilnie w 1861 r., podczas celebry uroczystej biskupa (Krasińskiego), w miejscowej katedrze patrjoci demonstrowali, skorzystawszy z chwili podniesienia, zaintonowali hymn narodowy, a śpiewali go tak długo, że biskup pocichu mszy dokończyć był zmuszony. Łatwo się domyślić, co się dziać musiało w wileńskich kościołach, kiedy nawet powaga biskupa nie potrafiła wstrzymać zapaleńców” (podkreślenie nasze). O drugim wypadku jeszcze smutniejszym czytamy u wyżej cytowanego Laskowskiego. Mianowicie, gdy bp Krasiński zabronił odprawienia u Franciszkanów w Wilnie mszy żałobnej, która miała być znowu pretekstem do manifestacji podobnej, stało się, jak pisze biskup, że „tegoż samego dnia wieczorem (!) wszystkie szyby mojego mieszkania (w b. pałacu biskupim przy Zamkowej) wybito, a przez okno wrzucono do salonu duży kamień, zawinięty w papier, na którym wypisane były obelgi i pogroźki na mnie. Również potem często otrzymywałem wiele anonimów o podobnej treści”. Gorzki czasami bywa chleb biskupów.

Nielatwo było nawet dla Murawjewa wysłać na poczekaniu tak lojalnego i cierpiącego za to biskupa z Wilna. Kto wie, jeśliby bp Krasiński nigdzie wtedy z Wilna się nie ruszał, możeby został i przetrwał jakoś powstanie i rządy murawjowskie, jak to się udało bp Wołonczewskiemu, który też otrzymał od rządu pogroźki wywiezienia z Kowna i płacił wysokie kary pieniężne. Trzebaż było, że Murawjewowi ułatwili bezwiednie wykonanie zamierzenia *przyjaciele biskupa*, byli profesor. uniwersytetu wileńskiego. dr. Adam Ferdynand Adamowicz i dr. Stanisław Wikszemski, doradzając mu wyjechać, na pewien czas, na kurację do Kemmern. Murawjewowi, który nie chciał poruszenia umysłów w Wilnie i jakiejś żywszej reakcji tłumu wileńskiego, wyjazd ten był ogromnie na rękę. Biskupa najspokojniej i bez przeszkód aresztowano w wagonie już w Dyneburgu. Tak zamiast do kurtuazji, bp Krasiński musiał udać się *via* Psków na wygnanie do dalekiej Wiatki, gdzie przebył *dwadzieścia lat* (1863—1883)). Część podróży odbyto koleją, część końmi, część statkiem parowym. Bojąc się otrucia, chorujący wciąż biskup nie przyjmował w wagonie lekarstw, jakie mu proponowała towarzysząca mu straż wojskowa, a jadąc znowu parowcem nie wychodził przezornie na pokład statku, by nie być

zepchnięty w nurty rzeki. Jaśniejszym momentem jedynie był krótki pobyt we wsi Medwieże, gdzie lud prawosławny otoczył z szacunkiem karetę z biskupem, przyjmując jego błogosławieństwo. Bp Krasiński na wygnaniu nie zmienił ani o jeden włos swej taktyki. Był nadal nietylko lojalny, lecz też kurtuazyjny dla całej administracji gubernialnej w Wiatce i niezwykle tolerancyjny, jak na tamte czasy, względem duchowieństwa prawosławnego. Sprawiało wrażenie, że nigdy żadnej krzywdy od rządu i Cerkwi nie doznał, owszem że im dużo w życiu zawdzięczał. Po nieudanym w Paryżu zamachu na Aleksandra II, wznosił sam uroczyste modły dziękczynne w kościele wiackim, chociaż mógłby ostatecznie wyreczyć się proboszczem tamecznym.

Wraz z wygnańcami wyznania rz.-kat. ułożył wtedy depeszę do monarchy i wysłał ją w tłumaczeniu francuskim do Paryża. Depesza tak człołbitna, że trudno już o coś więcej. Podpisani składają u stóp tronu *wyrazy swych wiernopoddańczych uczuć i szczęścia*, z powodu ocalenia *tak drogiej dla nich* osoby cesarza. Nadto w liście do gubernatora wiackiego mówił bp Krasiński *w imieniu wszystkich*, o ich niezłomnych wiernopoddańczych uczuciach i ich najwyższym hołdzie dla Aleksandra II.

Był też raz nasz wygnańiec na całej uroczystości poświęcenia wody na Bohojawlenje (t. zw. Jordań). Tak to opisuje: „Pragnąc poznać całą ceremonję, obrałem w tym celu miejsce... w niedalekiej odległości od brzegów, mając przed sobą świątobliwego biskupa Agafangiela, odprawiającego nabożeństwo, oraz całe duchowieństwo prawosławne. Podczas całego nabożeństwa stałem z obnażoną głową, przejęty pobożną pokorą i poszanowaniem... Nie jestem fanatykiem i szanuję obrządku religijne wszystkich wyznań... Nic dziwnego, że *polski archierej*, jak nazywana w Wiatce wygnańca z Wilna, stał się tam osobliwością popularną. Otaczała go nieraz na ulicy dziatwa, polska i rosyjska bez różnicy, której dawał cukierki. Jednak administracja śledziła go nader pilnie na każdym kroku. Żadne atoli szykany nie wyprowadziły z równowagi wygnańca. Nie znałszy to, że nie tęsknił za krajem i ziomkami. Dlatego też prosił o ulaskawienie, powołując się słusznie, że *potrafił — jak mniema — wykazać najzupełniej swoją prawomyślność*. Gubernator tak go charakteryzował: *W rozmowie z Rosjanami, przy każdej okazji, stara się wykazać swą wier-*

nia czysto subiektywne, jak np. (przy pisaniu) *czuliśmy osobliwszą pomoc Bożej łaski, wyproszoną nam modlitwami dusz pobożnych lub: i rzeczywiście przy pomocy Bożej, poznaliśmy i upewniliśmy, że tak jest w istocie*. Otóż nie tędy droga do przekonania kogoś. Nie wolno przy argumentacji używać takich tricków. Przeświadczenia te mógł autor zachować sobie dla użytku prywatnego lub swych współbraci zakonnych, którzy bijąc dziś w duży bęben propagandowy, reklamują i przereklamowują tę książkę. Robią nawet dla niej reklamę z kurtuazyjnego pisma papieskiego sekretarjatu stanu, z podziękowaniem za ofiarowany Ojcu św. egzemplarz.

O. M. istotnie ma zacięcie polemiczne i folguje mu w zbijaniu zarzutów. Posądza niekiedy przeciwników o złą wolę, odrzuca tak oczywistą polsko-łacińską rękę w dziejach uchwał Synodu Lwowskiego (1891), która wyraziła się w tem, że korekty tych uchwał dokonano poza plecami Synodu (poco był

tedy potrzebny cały Synod? Czy nie lepiej już było zgodzić się z tem, że pewien punkt uchwał nie otrzyma aprobaty Rzymu, niż używać takich wybiegów?) i t. d.

Wysunięte już w tytule książki hasło niepodzielności serca kapłańskiego wiele, wiele razy wraca pod piórem o. M., co daje i nam prawo, powiedzieć wreszcie: *Przyznajcie się i wy, zakonnicy, choć raz do podziałów, jakie życie na świecie wnosi do serc waszych*. Więc do podziałów, płynących z kłopotliwego administrowania dobrami klasztorami, z chęci pomnożenia funduszy klasztorów, z nieustannej emulacji z innymi zakonami i klerem świeckim, ze smutnego nieraz położenia kogoś z rodzęństwa i do wielu innych, których przytaczać tu nie będę. Czy nie lepiej wprost powiedzieć światu: godzimy się raczej na wszelkie inne podziały niż na ten, co wynika ze związku małżeńskiego. Więc nawet na podział serca kapłańskiego między Bogiem



ność cesarzowi i władzom rządowym. Nie był to u niego objaw jakiegoś serwilizmu, bo ten człowiek takim był na wygnaniu, jakim przedtem w Wilnie, to samo mówił Polakom, co i Rosjanom. Naprawdę wygnaniec przez nieporozumienie!.

\*

Wraczał z wygnania bp Krasiński, omijając Wilno, dokąd mu wstęp był i teraz wzbroniony. Jechał więc przez Warszawę i Włocławek, gdzie na prastarej stolicy biskupiej był wówczas jego przyjaciel, Litwin Bereśniewicz. Zamieszkał na stałe w Krakowie, latem wyjeżdżał do Szczawnicy lub Zakopanego. W grodzie podwawelskim odrazu wszedł w bliski kontakt z uniwersytetem Jagiellońskim, który mu w r. 1888 nadał h. c. doktorat filozofii. Tu obchodził dwa jubileusze: srebrny biskupstwa i złoty kapłaństwa. Został członkiem czynnym Akademii Umiejętności w Krakowie i Akademii Arkadyjskiej w Rzymie. W Krakowie prędko stał się postacią znaną i cziłgodną tak wśród uczonych, jak i na Plantach, gdzie nieraz swym zwyczajem obdzielał dziatwę łakociami.

Gdy 9.V.1891 zamknął oczy, zęgnali go słowem i piórem profesorowie St. Tarnowski, Kaz. Morawski, St. Tomkowicz, Marjan Morawski i in., z poza uniwersytetu P. Popiel i in. Ma osobny grobowiec na głównym cmentarzu krakowskim.

\*

Przekładał Horacego, i kard. Bone, *Historje Kościelną Alzoga* (z niemieckiego), *Pieśń o wyprawie Igora na Połowców* (za co otrzymał pierścień brylantowy od Aleksandra II)... Wydał dwa *Noworoczniki literackie* (1838 i 1843). Jego *Gramatyka polska dla dzieci* miała piętnaście wydań!

Napisał pierwszy podręcznik w języku polskim *Prawa Kanonicznego*.

Jedno z licznych jego kazań zostało przełożone na francuski pt. *Sermon en l'honneur de la Très Sainte Vierge sur la Providence divine* (Petersburg 1856).

Pisał wiersze po polsku i po łacinie. Największym jego dziełem niewątpliwie jest wydany przez krakowską Akademię Umiejętności *Słownik synonimów polskich*.

To są ważniejsze pozycje bibliograficzne pióra bpa Kraslińskiego.

Gardiner.

a pieniędzmi, oborą, stajnią, psiarnią, papugą, bo ja wiem czem, wykluczamy absolutnie tylko podział serca z kobietą. Jakże częstą rzeczą jest na wsi, taki kapłan o *niepodzielnem sercu* biegnący co rano, zaraz po wstaniu, jeszcze przede mszą św., na t. zw. obejście gospodarskie umiłowanych swych koni, krów i świń, a wnikający z troską iście rodzicielską we wszystkie radości i smutki swej obory!... Zdarza się także, że *suczka księdza proboszcza* w tej osobliwej hierarchii wartości zajmuje miejsce pocześniejsze niż kobieta, którą taki „sługa Boga i Kościoła” uważa niekiedy za... *stryczek, na którym djabek ciągnie duszę mężczyzny do piekła* (Przybyszewski). Wobec częstego powoływania się obrońców kleru żonatego na dobro narodu, a to ze względu na produkcję przezeń inteligencji, o. M., wślad za innemi, daje tu prostą receptę: *Treba wiru maty*, a inteligencja się znajdzie. Pięknie. Dlaczegoż jednak zakonnicy, mimo ślubów ubóstwa dozgonnego

## „Kałoście” za trzy kwartały.

O nowym czasopiśmie nie można sądzić po jednym — okazowym — numerze. Dopiero po pewnym okresie pracy, gdy się oblicze pisma kompletnie wyjaśni, można ten lub ów sąd o niem powziąć. Trzy wydane zeszyty kwartalnika białoruskiego „Kałoście” dają już możność takiego sądu.

Potrzeba czasopisma tego typu odczuwana była przez społeczeństwo białoruskie oddawna. Mówią o tem liczne w tym kierunku poczynania — od „Zachodniej Białorusi” z r. 1924 poprzez „Rodnyje Honi” i „Nioman” w latach późniejszych. Niestety, urywały się zbyt prędko, świadcząc tylko dobitnie, iż społeczeństwo białoruskie ma dostateczną ilość sił twórczych, by wydawnictwa takie prowadzić.

„Kałoście”, czasopismo literacko-naukowe, jak stwierdza w nagłówku, we wstępie do pierwszego zeszytu zwróciło się do szerokiego ogółu społeczeństwa — zarówno starszego, jak i młodszego — z wezwaniem do udziału w tem wydawnictwie bądź to pracą swoją, bądź składkami pieniężnymi. I społeczeństwo chętnie pośpieszyło mu z pomocą, słusznie przypuszczając, że będzie ono między innymi poważnym czynnikiem w dziele konsolidacji inteligencji białoruskiej, waśnionej od wielu lat przez rozmaite — przeważnie obce — wpływy i orientacje polityczne. Godzono się nawet z faktem, iż wydawcą czasopisma był „Białoruski Instytut Gospodarki i Kultury”, ideologicznie zbliżony do Chadejki Białoruskiej; składki napływały i od osób, ideologicznie będących przeciwnikami tej partji i jej ekspozytur. I „Kałoście” wychodziło wyłącznie z tych ofiar i wpływów ze sprzedaży czasopisma, nie uciekając się do pomocy kasy Instytutu.

Jakież dotychczas plon dało „Kałoście”?

W dziale literackim widzimy tu przedewszystkiem chlubnie znane w Zachodniej Białorusi od szeregu lat imiona poetów — Arsieńjewej, Michasia Maszary, Teodora Iljaszewicza; z młodszych autorów — Biarozki i Wieleckiego. Ta piątka poetów zapełnia dział literacki wszystkich trzech zeszytów, dając rzeczy częstokroć o wysokiej wartości artystycznej, — przynajmniej jeśli chodzi o Arsieńjewą i Maszarę. Inni jeszcze przeważnie szukają swej drogi, wnosząc, jak Iljaszewicz, nowe motywy — motywy wielkomijskie i robotnicze. Charakterystycznym jest, iż dają

tak gorliwie zabiegają o dobra ziemskie i tak umieją chodzić koło swych interesów doczesnych? *Treba wiru maty!*, a reszta będzie przydana.

Dla zniechęcenia do małżeństw księży, o. M. cytuje parę obrazków znanej biedy galicyjskiej, jakiej doświadczają nieraz rodziny kapłanów gr.-kat. Więc brak środków na kształcenie dzieci, brak kompletu garderoby u żon księży, harowanie wdów księży i sierot... Zapewne, smutne są to wszystko rzeczy, ale czy całkiem obiektywnie naświetlone? Ileż dziś biedy jest też w rodzinach urzędniczych, wśród emerytów!... Też pośród księży łacińskich na lichych parafijkach po różnych kątach zapadłych!... Wszędzie jest. Ale jednocześnie znane są inne fakty. Oto przebywający tego lata na kuracji w Szczawnicy, łacińscy celibatarjusze z Litwy i Białorusi podziwiali wprost wytworne stroje kilku bawiących w uzdrowisku małżonek księży gr.-kat., podczas spacerów na deptaku. Oczywiście, ten dostatek nie może iść



oni wyłącznie niemal wiersze liryczne. Proza reprezentowana jest w ilościach minimalnych.

Lecz jeśli „Kałoście” nie zdołało wydobyć na terenie zachodnio-białoruskim nowych talentów, nowych sił poetyckich, to wprowadziło ono innowację bardzo ciekawą i wprost niezbędną: przekroczyło przez kordony graniczne na Wschodzie, dając systematycznie utwory poetyckie autorów Sowieckiej Białorusi—przeważnie jednak z okresu, poprzedzającego zainicjowaną przez Stalina walkę Moskwy z białoruskimi „nacdemami”. Spotykamy więc w „Kałoście” utwory tak wybitnych talentów, jak romanista Michaś Zarecki, jak zgasły przedwcześnie wybitny liryk Pauluk Trus, jak Włodzimierz Dubouka, którego utwory wcześniejsze były drukowane na Zachodzie, prozaik Michaś Lyńkou, liryk Jazep Puszczacz... Utwory te są szczególnie ciekawe i z tego względu, że świadczą o duchowej jedności twórczych sił białoruskich Wschodu i Zachodu. Dział recenzji utworów literackich uzupełniają podawane w wyjątkach lub w całości drobniejsze utwory.

Jeśli teraz przejdziemy do działu naukowego, to i tutaj ujrzymy to samo, co w dziale literackim, o ile chodzi o współpracowników. Liczba ich nie jest znaczna — w każdym z trzech zeszytów spotykamy te same niemal nazwiska, znane społeczeństwu od dłuższego czasu. Przedewszystkiem — trzej Stankiewicz: ks. Adam Stankiewicz, dr. Jan Stankiewicz, mag. Stanisław Stankiewicz,—dalej dr. St. Hryniewicz, ks. W. Godlewski, inż. A. Klimowicz, M. Szkielonek oraz debiutujący poniekąd Jan Szutowicz. W ostatnim zeszycie znajdujemy również nazwisko ks. Wł. Tołoczki. Rzućmy okiem na treść i charakter ich prac, w czasopiśmie zamieszczonych.

Podtytuł „Kałoście”: „Białoruskie czasopismo literacko naukowe”—wprowadza recenzenta w pewne zakłopotanie, bo przecie od czasopisma naukowego mamy prawo dużo wymagać. Otóż nie do wszystkich prac, w „Kałoście” drukowanych, można z miarą naukową podchodzić: w niektórych z nich widzimy tylko — publicystykę. Odnosi się wrażenie, że redakcja nie posiada wyraźnie uświadomionego celu: bo obok prac naukowo-badawczych, przeznaczonych dla niedużego koła t. zw. inteligencji „stuprocentowej”, widzimy rzeczy, przeznaczone dla pół- czy ćwierć- inteligentów, niezdolnych jeszcze do krytycznego przyjmowania tej lektury, do samoistnego myślenia i badania poruszonych tematów.

Do prac naukowo-badawczych w ścisłym znaczeniu odnieść należy przedewszystkiem prace d-ra Jana Stankiewicza: „Siewieranie — plemię białoruskie” oraz „Patronimika u Białorusinów”. Znać w nich głęboką znajomość przedmiotu i metodę naukową. Lecz jeśli z całkowitem uznaniem ustosunkować się należy do autora, jako badacza, to pozostawia wiele do życzenia jego dekretywanie w sprawach używania tych lub innych form językowych—na tej zasadzie, że tak lub inaczej mówiono w odległej przeszłości. Nie uznaje d-r Stankiewicz form nowych, powstałych może pod obcym wpływem, lecz przez lud już szeroko przyjętych.

Dobrze opracowany jest artykuł St. Stankiewicza: „Białoruskie wiersze filomackie Jana Czeczota”. Autor słusznie podkreśla organiczny związek, jaki zachodził między psychiką Czeczota i duszą ludu białoruskiego, przyczem uwydatnia elementy białoruskiej poezji ludowej w poezji Czeczota. Nieduży, ale cenny przyczynek do badań nad kwestją religijnej przynależności d-ra Franciszka Skoryny, pierwszego drukarza białoruskiego i tłumacza Biblii na język białoruski, dał ks. Wł. Tołoczko, wskazując źródło, gdzie należałoby poczynić poszukiwania. Może kwestją tą zajmą się badacze białoruscy na Wschodzie, gdyż chodzi tu o zbadanie archiwaljów połockich, niedostępnych dla Zachodnich Białorusinów.

Ciekawe są artykułiki d-ra St. Hryniewicza, mające charakter przejściowy od naukowości do publicystyki. Poruszają głębokie zagadnienia kultury narodowej, nadające się do specjalnego opracowania, — szczególnie problem określenia charakteru narodowego Białorusinów — na zasadzie danych historycznych.

Rzeczowo i poważnie potraktowane są recenzje o dziełach naukowych i literackich. Zaznaczymy tu recenzję M. Szkielonka o „Księdze pamiątkowej ku uczczeniu czterechsetnej rocznicy wydania Pierwszego Statutu Litewskiego” (Wilno 1935), w której recenzent ujawnił głęboką wnikliwość w poruszane problemy historyczne. Szkielonek, podobnie jak inni młodzi badacze białoruscy, stara się ująć przeszłość ziem białorusko-litewskich w nowym, białoruskim jej aspekcie, co jest cennym uzupełnieniem prac historyków innych narodowości—polskich, litewskich, rosyjskich i ukraińskich.

Jeśli teraz rzucimy okiem na resztę prac, za-

w zawody ze znaną zamożnością jeszcze licznych księży w Poznańskim i na Pomorzu, którymi by starczyło nie na taki nawet luksus.

Niezgoda w małżeństwie księżem szczególnie musi przykro działać, lecz również nieużyty charakter kapłana lub jego matki, siostry, lub bratowej stwarza nieraz niesnaski na plebanji i daje parafji zły przykład. Nietylko dla żony i dzieci grozi pewne spoufalenie się z kapłańską godnością ojca, lecz także i dla djaka i reszty służby cerkiewnej, która zna swego parocha przy ołtarzu, lecz zna też w *pan-toflach*. Jest to zjawisko o skali bardzo szerokiej. Życie jednak wymaga trzymania służby i nikt rozumny zbyt nie liczy z nieodłącznym z tem pospolitowaniem się.

Niema katolicyzmu *in abstracto*, znamy tylko łaciński (rzymski) i grecki (wschodni). Więc o. M., wysuwając pojęcia takie, jak *zasad katolickich, dyscypliny katolickiej...*, nie szuka ich w syntezie za-

chodu ze wschodem, lecz umieszcza je wyłącznie w orbicie obrzadku łacińskiego! Tu wyłania się nader aktualny problem: *inkorporacja czy unja?* Czem była w swej istocie Unja Brzeska i czem być ma ta przyszła?..

Dwakroć o. M. powtarza w swej książce słowa pap. Benedykta XV: *Nigdy do tego nie dojdzie, by Stolica Apostolska zniósła lub złagodziła prawo celibatu kościelnego*. Każdy katolik winien te słowa przyjmując z wielką czcią, bo chociaż, nie stanowią jeszcze one żadnego dogmatu, wytyczają jednak w chwili bieżącej ustosunkowanie się Kościoła do tego ważnego punktu współczesnej dyscypliny kościelnej. Swoją drogą przyszłość Kościoła nie jest znana dokładnie nawet papieżowi. Oczywiście błędem dogmatycznym byłoby twierdzić, że Kościół mógłby znieść choć jeden ze swych dogmatów. Chcemy tu przypomnieć znamienne dzieje pewnego przepisu kościelnego, który długo istniał, mając mocne opar-



mieszczonych w „Kałoście” i pretendujących do naukowości, to tu właśnie następuje ów moment pewnego zakłopotania dla recenzenta. Ta reszta — to albo popularyzacja problemów, skądinąd znanych i opracowywanych (A. Klimowicza: „Ostatnie lata pańszczyzny na Białorusi” i „Skasowanie pańszczyzny na Białorusi”, gdzie wszakże na uwagę zasługują materiały z archiwum wileńskiego), albo — publicystyka.

Taką publicystykę stanowią przede wszystkim artykuły ks. Ad. Stankiewicza. Jeden — „Mużyckaja Prauda” i „Homan”, drugi — „Prof. Bronisław Epimach-Szypillo”. W pierwszym artykule uderza nas pewna tendencyjność autora, który nagina treść „Mużyckiej Praudy” do zgóry powziętej tezy i w tym celu opuszcza to wszystko, gdzie się ujawnia narodowy dualizm Kalinowskiego, charakterystyczny dla wszystkich współczesnych mu działaczy na gruncie odrodzenia narodowego Białorusinów, wyrosłych pod polskim wpływem kulturalnym (nie wyzwolił się od tego nawet Fr. Bohuszewicz, zmarły w roku 1900).

W drugim artykule, poświęconym pamięci zmarłego w ubiegłym roku działacza białoruskiego prof. Br. Epimach-Szypillo, zrozumiałą jest patos oraz używanie superlatywów celem wywołania u czytelnika sympatii dla tej naprawdę niezwykle ujmującej jednostki. Lecz nie należy też przesadzać. Nikomu nie wolno rozmijać się z prawdą, która jest celem badacza naukowego, a której zgasły działacz niema potrzeby się obawiać. Każdy, kto w latach przedwojennych uczęszczał do Uniwersytetu Petersburskiego, musiał znać prof. Epimacha-Szypillę jako pomocnika bibliotekarza w bibliotece uniwersyteckiej, który wydawał studentom książki i wystawiał wyjeżdżającym na ferie certyfikaty, że wypożyczone dzieła zostały zwrócone. Każdy wiedział, że stanowisko to było skromne, że takich pomocników bibliotekarza w olbrzymiej bibliotece uniwersyteckiej było około trzydziestu. To też przykro razi twierdzenie, iż Epimach-Szypillo był rzekomo faktycznym dyrektorem biblioteki, „jakim oficjalnie być nie mógł ze względu na swe wyznanie katolickie”. POCO takie — delikatnie mówiąc — „koloryzowanie”?

Nie jest również zgodnym z prawdą twierdzenie, iż twórcą i istotnym kierownikiem towarzystwa

wydawniczego *Zabłanie sonca i u nasze wakonca* w Petersburgu był Epimach-Szypillo. Rola zmarłego w pracy towarzystwa, mieszczącego się w prywatnym mieszkaniu jego, była bez żadnej wątpliwości nader poważna; między innymi — leżała na nim odpowiedzialna korekta językowa drukowanych utworów. Lecz poco krzywdzić tu prof. Wacława Iwanowskiego, który był naprawdę głównym organizatorem i faktycznym kierownikiem towarzystwa — jego *spiritus movens*?! Wreszcie o pracy nieboszczyka wśród robotników petersburskich nie można wogóle mówić, gdyż taką pracą, przeciążony swą fachową działalnością biblioteczno-pedagogiczną, Epimach-Szypillo nigdy się nie zajmował... Był to zresztą urzędnik państwowy... A że *Zabłanie sonce*... powstało w r. 1906 — tym samym, co i „Nasza Niwa”, więc tylko zapalem publicystycznym ks. Stankiewicza wytłumaczyć można jego twierdzenie, iż okres *Zabłanie sonce*... czyli „szypillowski” był poprzednikiem okresu „naszaniwskiego”...

Charakter publicystyczny, nie zaś badawczy, ma i notatka ks. W. Godlewskiego, omawiająca „100-lecie nowego druku białoruskiego” — ściślej: 100-lecie wydania katechizmu białoruskiego w r. 1835. Jest to dobry artykuł okolicznościowy, w którym autor, jak sam stwierdza, nie mógł dać rzeczy rewelacyjnych ze względu na brak materiałów archiwalnych, związanych z wyjściem „Katechizmu”.

Wreszcie — artykuł J. Szutowicza p. t. „Adam Hurynowicz”. Autor na początku zaznacza, że będzie mówił o twórczości literackiej tego rewolucjonisty białoruskiego i etnografa, gdyż na innym miejscu omawiał już społeczną i rewolucyjną działalność Hurynowicza. Lecz przy czytaniu artykułu spotyka nas rozczarowanie: młody autor wlicza tylko utwory Hurynowicza i zbywa je kilku zdawkowymi słowami. A szkoda: twórczość Hurynowicza, współczesnego Bohuszewiczowi, warta jest opracowania głębszego i bardziej wnikliwego, gdyż charakteryzuje wogóle działaczy białoruskich z końca ubiegłego stulecia.

Każdy zeszyt „Kałoście” kończą ciekawe informacje z białoruskiego życia kulturalnego — z obu stron kordonu granicznego. Szata zewnętrzna — bez zarzutu.

Życzyć należy czasopismu, by określiło wyraz

cie w księgach Nowego Testamentu. Mamy na myśli — sięgający czasów apostołskich nakaz, by niewiasty nie wchodziły do kościoła z głową niepokrytą. I cóż z nim się stało?! Oto dziś domagają się przestrzegania jego tu i ówdzie bardzo nieliczni już dziwacy, ogół zaś duchowieństwa przeszedł wyraźnie do porządku dziennego nad tym sędziwym przepisem i nikt nie wyklóca się już o to. Były i inne przepisy kościelne, nawet połączone z sankcjami, a dziś tylko badacz przeszłości kościelnej napotka czasem te obumarłe pomniki prawodawstwa dawnego. Ktoby mógł np., jeszcze przed rokiem, spodziewać się, że Kościół pozwoli odprawiać nabożeństwa uroczyste za dusze zmarłych w schyzmie? Wystarczyło atoli jednego słowa Piusa XI, wyrzeczonego po zgonie króla Jugosławji Aleksandra I, by odmienna praktyka dwóch tysiącleci została przekreślona raz na zawsze!...

Wola Kościoła jest dziś, by celibat był, i nikt nie myśli kruszyć kopji o jego zniesienie. Kryzys

stwarza dlań konjunkturę raczej pomyślną. Jednak przysięgli obrońcy celibatu powinni dbać, by przez posługiwanie się niedość przemyślanymi argumentami nie obniżyć dziś w niczem ani świętości małżeństwa, ani godności kobiecej. Mała to pociecha, ale pociecha, że kiepsko się argumentuje w tej kwestji nie tylko u nas, lecz nawet u Niemców. Oto niedawno czytaliśmy w lwowskiej *Nowej Zori* piękną włązankę niemieckich sentencji o celibacie, z których jedna była takiej treści: Wyniosłych łuków katedry kolońskiej nie stworzyłby nikt inny, jeno kapłan celibatarjusz... Niebosiężne jednak piramidy wznosili właśnie liczący na setki swych żon i nałożnic, faraonowie, więc może wielożeństwo jest równie dobre?.. Oto jedna z wielu próbka, jak naiwnie się argumentuje wobec ludzi współczesnych za celibatem.

Zakończę wieszczami słowami bpa Kettelera: *Mogą nastać czasy, kiedy rodzina chrześcijańska będzie musiała spełniać wszystkie niemal funkcje kapłańskie.* Grek.



niej swoje cele i drogę do nich. Niech więc zechce ono sprecyzować, czy ma być nadal czasopismem istotnie *naukowym* (ku czemu posiada podstawy, jak widać z powyższej recenzji); czy też pismem *popularyzującym wiedzę* i zarazem *publicystycznym*. Odbiłoby się to bezwarunkowo dodatnio na wydawnictwie, wzmacniając podstawy jego bytu przez udział nowych sił — zarówno autorów, jak i zasilających jego kasę sympatyków.

A. Ł.

## Najnowszy „Przewodnik po Wilnie“.

Latem r. b. ukazało się poprawione i uzupełnione przez dr. M. Łowmiańską, wyd. V najbardziej rozpowszechnionego „Przewodnika po Wilnie” dr. Wł. Zahorskiego. Poza takimże Kirkora, żaden nie był przepojony w równej mierze sentymentem do Wilna. Z radością witaliśmy pierwsze jego wydanie, chciwie w niem się rozczytując. „Przewodnik” W. Studnickiego odznaczał się może większym krytycyzmem i dał sporo nowych rzeczy, był jednak nieco chaotyczny, takież prof. J. Kłosa celował znowu analizą reprezentowanych w architekturze Wilna stylów, atoli w pierwszym wydaniu pstrzył się od błędów historycznych. „Przewodnik” Zahorskiego miał, jak widzimy, konkurentów poważnych, jednak trzymał się na rynku księgarskim mocno i rozpoczyna dziś nową turę. O dr. Marji Łowmiańskiej, co go przygotowała do druku, powiedzieć możemy tyle, że jej poprzednie prace nad topografią dawnego Wilna z przed r. 1665 niezawodnie ułatwiły wykonanie pięknego zamierzenia.

Właściwy „Przewodnik” poprzedza krótki życiorys s. p. dr. Wł. Zahorskiego, z wykazem wszystkich jego prac historycznych. Dalej idzie dział informacyjny b. szczupły i niedokładny (zdarzają się błędne adresy, np. „Przeglądu Wileńskiego”, nieaktualne już np. „Zagarów”, a niektórych — wcale niema).

Uwagi ogólne zaczynają się od wszelkich statystyk. Ile są one warte w Wilnie, wiemy dobrze. Pewną niespodzianką stanowi podanie nazwisk Fr. Skorony, drukującego pierwszą książkę w Wilnie, i dwóch spoczywających na Rosie Litwinów, dr. Basanowicza i art. mal. Czurlionisa, oraz nazwanie pagórka Śnipiskiego z figurą Ukrzyżowanego — pilkarnią.

Pozatem swe pióro oddała autorka wyłącznie do dyspozycji polityki unifikacyjnej. Dla Litwinów jest niechętna, chociaż unika wystąpień jaskrawych.

W wędrowkach przewodnikowych po ulicach, placach, kościołach, pałacach, ogrodach i in. notujemy szereg błędów. Przy kościele św. Kazimierza był za dawnych czasów dom profesów (nie profesorów). Niestłusznie dom Nr. 8 przy ul. Zamkowej nosi dziś jeszcze nazwę arcybiskupiego, bo z chwilą przeniesienia się arcybiskupa do pałacu arcybiskupiego, stał się znowu jedną z kamienic kapitulnych, jaką był zawsze przed oddaniem go do dyspozycji czasowej biskupów wileńskich. *Ditto* o domu Nr. 6 Kurji Metropolitalnej, gdzie niepotrzebnie pozostawiony nad bramą napis *Kurja Metropolitalna* wprowadza dziś tylko w błąd interesantów zamieszkujących.

Według dr. Ł., dawna rosyjska szkoła realna mieściła się w dzisiejszym głównym gmachu U.S.B. w Wilnie. Aż do ewakuacji Wilna w r. 1915, szkoła ta miała swój własny lokal przy ul. Orzeszkowej. — Przedwojenne Wilno, według dr. Ł., miało aż dwie

siedziby gubernatora cywilnego, bo jedną przy ul. Św. Jańskiej 3, drugą zaś przy Żeligowskiego 4. Tymczasem kto pamięta Wilno z przed wojny światowej, wie że rosyjscy gubernatorzy cywilni mieszkali stale przy Żeligowskiego 4, gdzie dziś Starostwo Grodzkie. — Pospitalny kościół św. Trójcy był tylko przez pewien czas oddany do użytku żeńskich konferencyj św. Wincentego à Paulo, ale już od kilku lat ten stan rzeczy nie istnieje. — Opisując ghetto wileńskie, czytamy takie oto rzeczy: *Po bramach zamiast słupka można ujrzeć wkopaną armatę, a dzwonki są zastąpione przez kołatki*. Brzmi to rewelacyjnie. Swego czasu czytaliśmy u jednego miłośnika przeszłości wileńskiej, że jedyna w Wilnie kołatka jest dziś przy bramie domu p. Obsta (Bernardyński 11).

Marjawitki nie mogły osiąść przy kościele św. Stefana już z tego powodu, że założycielem tego zgromadzenia (dla opiekowania się neofitkami żydówkami) był rektor tegoż kościoła ks. Turczynowicz. Więc marjawitki, raczej wyszły stąd, jako ze swego gniazda i domu macierzystego.

Nie odróżnia dr. Ł. terminów *cudowny a łaskami słynący*, które stanowią pewną hierarchję pojęć. — *Kaplica wskrzeszonego Piotrowina*... miała być w katedrze, ale to wręcz nieprawdopodobne, bo on nie jest święty. — W zakrystji katedralnej niema wcale drzwi żelaznych, któreby prowadziły do skarbcza i archiwum. — W opisie św. Jana pominięto płaskorzeźbę dłuta Ant. Wiwulskiego i tablicę Umiaszowskiego. — Rewelacyjnie brzmi informacja, jakoby ciężka wieża (?) czworoboczna, stojąca tuż za wielkim oltarzem kośc. św. Jerzego, miała niegdyś charakter obronny. Mówiąc o świeżoodnowionym obrazie M. B. Świętomichalskiej, dr. Ł. nie zachowuje właściwej rangi, wymieniając pierwiej św. Bernardyna (nie św. Bernarda, który z zakonną rodziną franciszkańską nic nie ma wspólnego), a potem św. Franciszka Serafickiego. — Rewindykował tę świątynię o. Mukermann w r. 1918 (nie w r. 1917, gdy jeszcze była luterską kirką garnizonową dla Niemców okupantów). — Całkiem przeoczyła dr. Ł., czy może nie chciała mówić, że ostatnia restauracja wnętrza kościoła ostrobramskiego udała się fatalnie. Przytem cytuje ona za ks. dr. T. Sleczką, że obraz ostrobramski zawieszony został w tej bramie około r. 1570, z inicjatywy jezuitów, dla przeciwwagi reformacji. — Geneza powstania cmentarza pobernardyńskiego jest inna niż przytoczona przez dr. Ł. (por. *Z przeszłości cmentarzy wileńskich* w „Przegl. Wil.” Nr. 20 z r. b.). Prawie pominięty jest stary cmentarz żydowski. W paru miejscach posprzeczałibyśmy się z autorką o określenie stylu tej lub innej budowli.

Drobne nieścisłości pomijam. Przygotowany przez dr. Ł. „Przewodnik po Wilnie” poszerzy znawstwo Wilna, a dla turystów pozamiejscowych będzie miłą nawet pamiątką.

as.

## Polski Słownik Biograficzny.

Dobiega już końca tom I P. S. B., co daje dobrą sposobność omówienia tego niepospolitego przedsięwzięcia wydawniczego.

Rozpoczęte przed niespełną paru laty wydawnictwo ma zamieścić około 20.000 zwiezłych życiorysów. Wejdą doń przedewszystkiem wybitniejsi Polacy, ale też cudzoziemcy (termin niezbyt szczęśliwie użyty, bo czyż Litwinów, Ukraińców i in. mamy



uważać za... cudzoziemców?), którzy odegrali znaczną rolę w życiu kulturalnym, społecznym lub politycznym społeczeństwa polskiego. Wielka ta podręczna informacja powstaje pod egidą i nakładem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Zasilek materialny stanowią fundusze Kultury Narodowej i im. H. Bucewicza. Według zapowiedzi, P.S.B. nie dopuszcza żadnej tendencji politycznej ani moralizatorskiej. Zapowiedź niewątpliwie słuszna, ale zobaczymy, czy i jak będzie wypełniona.

Jeśli chodzi o stronę techniczną, to przedstawia się ona tak: istnieje Komitet Redakcyjny z kilkunastu osób (m. in. z Wilna prof. Janusz Iwaszkiewicz), któremu przewodniczy jako redaktor główny prof. Wł. Konopczyński, przy nim urzęduje Rada Słownika, do której wchodzi przedstawiciele wszystkich polskich naukowych instytucji i towarzystw (miejsce przedstawiciela Tow. Przyj. Nauk w Wilnie *vacat*); ponadto wydawnictwo posiada liczne grono współpracowników, a wśród nich z Wilna: M. Brensztejn, ks. Cz. Falkowski, St. Łowmiański, R. Mienicki i W. Studnicki.

Tom I ma, jako rozpięcie nazwiskowe, *Abakanowicz-Beynart*, co wynosi str. 479.

Teraz kilka uwag o treści niektórych życiorysów. W życiorysie prof. Bol. Bałzukiewicza czytamy, że to on wykonał popiersie mecenasa T. Wróblewskiego na Rosie, gdy tymczasem jest ono dziełem dłuta art. rzeźbiarza Rafała Jachimowicza.

Pełen jest ciekawostek życiorys bpa Bandurskiego. M. in. dowiadujemy się tu, że w lwowskim mieszkaniu nieboszczyka omawiany był, na przełomie lat 1912—13, projekt dokonania zamachu na prawosławny sobór na Placu Saskim, w celu wysadzenia go w powietrze. Właśnie wykańczano wtedy jego budowę. Na uroczyste poświęcenie miał zjechać do Warszawy cesarz Mikołaj II, a ugodowcy szykowali się już do publicznej manifestacji swej lojalności. Jednak Mikołaj II nie przyjechał i okazja do podobnej demonstracji przepadła. Czynił też biskup Bandurski przed wojną we Lwowie przygotowania do wydobywania ukrytych na Podlasiu w Białej relikwii patrona Unji, św. Józefata. Jeśliby wtedy relikwie te trafiły do rąk polskich, Cerkiew gr.-kat., nigdy nie przysłaby do ich posiadania. Stało się jednak inaczej i relikwie te czekają w Wiedniu sposobniejszej do powrotu chwili.

A jak wypadły w P.S.B. rzeczy litewskie?

Naogół dość nieźle. O Akielewiczu pisał M. Brensztejn. O bpie Rudziewiczu notatkę ciekawą mimo niepełności dał prof. historii na u cie Jagiellońskim bp Michał Godlewski. Znowu biskupi Baranowski i Bereśniewicz zostali ujęci mało ciekawie i dość sucho, a szkoda, bo o nich dałoby się więcej zajmującego powiedzieć. Życiorys ks. prof. Bałtruszysa wyszedł z pod pióra ks. prof. Falkowskiego zwięźle a plastycznie. Widać że, że ten uczony Litwin z poza przykrych nieraz tarć narodowościowych, nie dostrzegał tego, że jednak ostateczną sprężyną w sporze polsko-litewskim były *idee*. Omawiając powyższe, ks. Falk. dopisał: *Dobro Kościoła wymaga, zwłaszcza pod zaborem rosyjskim, mocnego oparcia o kulturę polską*. Tej wątpliwej tezy autor nie umotywował.

Znaleźliśmy szereg nazwisk opuszczonych w P. S. B. Temi są m. in. Astramowicz, Antonowicz, Bajko, Baudis... Wat.

## Dorobek młodych prawników Wileńskich.

Ukazał się z druku tom studjów filozoficzno-prawnych pod redakcją prof. Bronisława Wróblewskiego p. t.: *Ogólna Nauka o Prawie* (Wilno 1935 Nakładem Koła filozoficznego studentów U. S. B. str. VIII+405).

Publikacja ta obejmuje następujące rozprawy młodych pracowników naukowych Uniwersytetu Wileńskiego.

1) **Dr. Józef Zajkowski** *Ustęp do badań nad pojęciem interesu w prawie i procesie cywilnym* str. 1—1.4.

Wychodząc z rozważań teoretycznych o charakterze empirystyczno-nominalistycznym, autor dowodzi, że poznanie prawa obowiązującego sprowadza się do przewidywania przyszłej judykatury.

2) **Docent Dr. Andrzej Mycielski** *„Prosty rozum” a współczesna ogólna nauka o prawie* str. 125—139.

Teza autora brzmi, że tomistyczne pojęcie prawa odpowiada całkowicie wskazaniom „prostego rozumu”. Prawo w ujęciu tomistycznym jest bytem obiektywnie istniejącym i specyficznym, a równocześnie hierarchicznie zróżnicowanym.

3) **Mgr. Sawa Frydman** *Dogmatyka prawa w świetle socjologii. Studium pierwsze. O wykładni ustaw*. str. 141—316.

Autor kreśli program empirycznego (w szczególności statystycznego) badania wykładni ustaw, uprawianej przez sędziów, adwokatów, uczonych — dogmatyków prawa i t. d. Rozwija szereg możliwych form wykładni i z dokonanych analiz wysnuwa wnioski co do istoty prawa i nauki prawnej.

4) **Mgr. Sergiusz Arsenjew**, *Próba syntezy zasadniczych sprzeczności filozoficzno-prawnych*. str. 317—374.

Praca ta zawiera sformułowanie zasadniczych zagadnień filozofii prawa oraz próbę ich rozwiązania w drodze zastosowania metody teorii nadrzędnej uniwersalnej. Autor wykazuje, że zasadnicze sprzeczności filozoficzno-prawne dają się sprowadzić w drodze analizy logicznej do dwóch systemów filozoficzno-prawnych, którym odpowiadają z kolei różne rodzaje poznania oraz odmienne stany poznającego podmiotu.

5) **Dr. Jan Rutski** *Co to jest symptom?* str. 375—339.

Praca ta dotyczy zagadnienia z dziedziny metodologii ogólnej. Zagadnienie to jednak wiąże się z zagadnieniami ogólnej nauki o prawie, gdyż pojęciem symptomu coraz szerzej posługują się badania prawnicze i socjologiczne, w szczególności wówczas, gdy uciekają się do pomocy statystyki.

Autor daje analizę zagadnienia i — na jej podstawie — formuluje wskazówki metodologiczne dla badaczy posługujących się pojęciem symptomu.

Dodatek do omawianego tomu zawiera skorowidz do pracy prof. Bronisława Wróblewskiego: *„Studja z dziedziny prawa i etyki”* (Wilno 1934).

---

*Wszystkim czytelnikom i współpracownikom Redakcja „Przeglądu Wileńskiego” przesyła serdeczne życzenia świąteczne i noworoczne.*

---

### Wydawnictwa

T-wa Pomocy Naukowej im. Wróblewskich

**Michał Brensztejn.** *Adam Honory Kirkor.* Wydawca, redaktor i właściciel drukarni w Wilnie od r. 1834 do 1867. Wilno, 1930.

**Józef Gołębek.** *Wincenty Dunin-Marcinkiewicz.* Poeta polsko-białoruski. Wilno, 1932.

**Michał Brensztejn.** *Dionizy Paszkiewicz.* Pisarz polsko-litewski na Żmudzi w pierwszej połowie XIX w. Wilno, 1934.

**Z. Honik.** *Urząd podwojewódzkiego w Wielkim Księstwie Litewskim.* Studium historyczne. Wilno, 1935.

**Marjan Zdziechowski.** *Chateaubriand i Bourbonowie.* Wilno, 1934.





LIETUVOS MOKSLŲ AKADEMIJOS BIBLIOTEKA  
  
002 00185472 9

Lietuvos Mokslų Akademij  
BIBLIOTEKA  
071570/1931-  
1935

  
Biblioteka  
im. Wróblewskich  
w Wilnie  
071570